

Delegatom
na III Wojewódzką Konferencję Partyjną
reczowych obrad i trafnych wyborów
życzą „KONTAKTY”

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

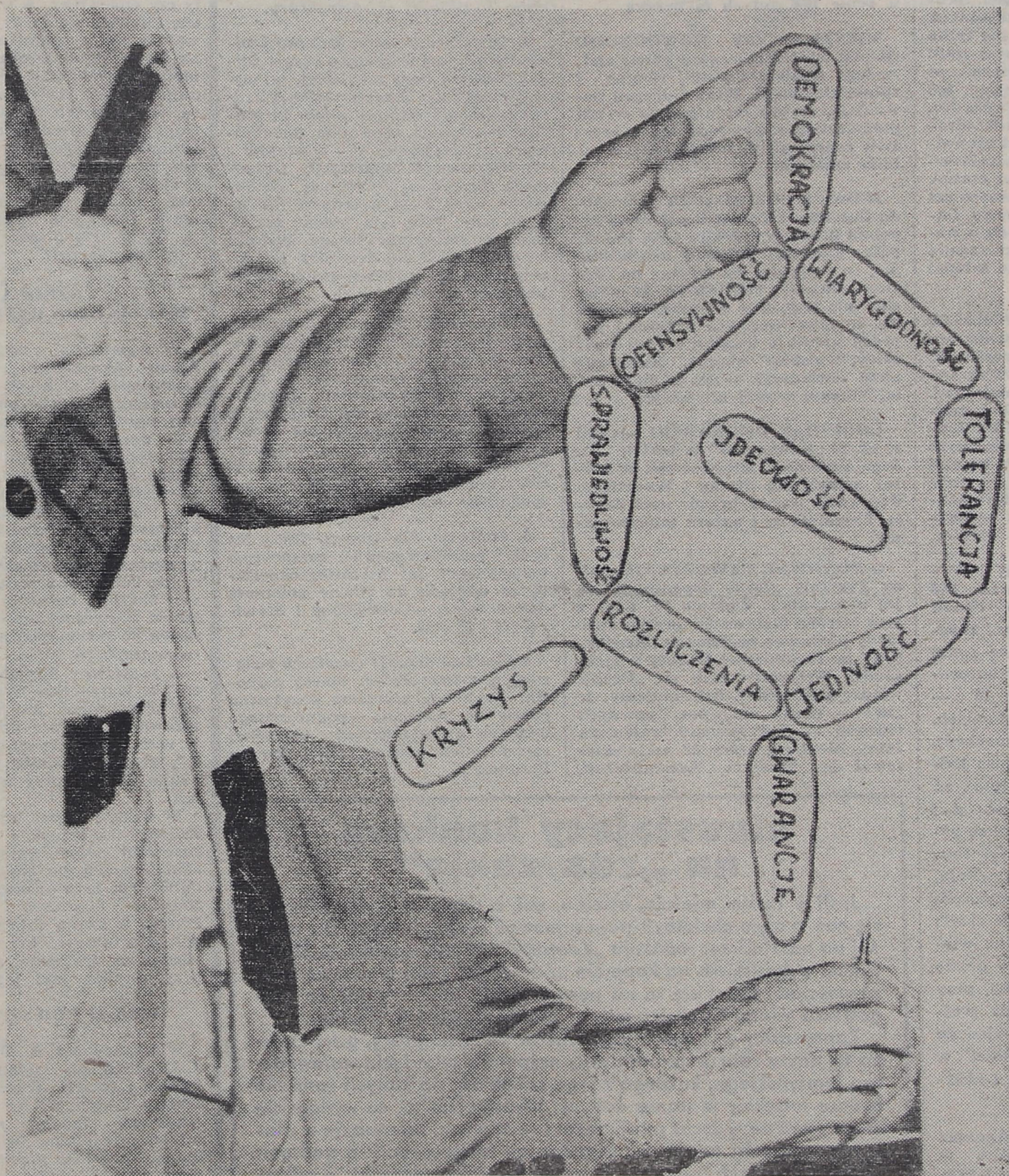
24

(51)

KONTAKTY

21 VI 1981

Cena 4 zł



ADAM J. SOCHA

**powtórka
z odnowy
pryszczatych**

Fot. GABOR LÖRINCZY

Gdy przyszli „młodzi gniewni” Kolna byli jeszcze w kołyskach, zmagając się z hydrami, by za dwadzieścia kilka lat „zduścić centuary”; gdy mozolnie składali pierwsze litery w elementarzu Falskiego — do tego egzotycznego miasteczka przybyli z różnych stron Polski, nie mniej egzotyczni, „pryszczaci” zetempowcy. Ich duchowym przywódcą stał się Eliasz Minkiewicz. Przyszły Lechosław Goździk Kolna.

CIĄG DAŁSZY na STR. 8—9

O czym muszę powiedzieć

Na krótko przed Wojewódzką Konferencją Sprawozdawczo-Wyborczą odwiedziliśmy niektórych delegatów prowokując odpowiedź na pytanie: „O czym muszę powiedzieć...?” Prezentujemy ich głosy jako zapowiedzi obiecującej, burzliwej dyskusji.

Ideał sięgnął bruku

BARBARA KRASOWSKA, zastępca dyrektora Terenowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Wyso-kiem Mazowieckim: — Wszyscy byliśmy świadkami upadku Partii. „Ideał sięgnął bruku” — można za-cytować słowa poety. Jak to się sta-ło, że 3 miliony członków Partii nie miało nic do powiedzenia? Jak było możliwe, że socjalizm — dał nam z jednej strony dobrobyt, a z drugiej — roboli i prominentów. Dla jednych — wille i pałace, dla drugich opaska na oczy. Na przykład w województwie katowickim 6 ty-sięcy polskich rodzin żyje w skraj-nej nędzy. Nasi przywódcy sprze-niewierzyli się partii, ideologii marksizmu-leninizmu. Ich przede wszystkim należy rozliczyć, bo to oni są prawdziwymi siłami antyso-cjalistycznymi, a nie ci, o których się tyle mówi, ale nic konkretnego.

W imię „społecznego interesu” de-cydenci mogli zrobić wszystko — przecież nikt nie miał prawa ich kontrolować. A spójrzmy na wete-ranów, ludzi, którzy walczyli o wol-ność Polski, kładli podwaliny jej u-stroju. Dostali 1—2 tysiące złotych renty i musieli z tego wyżyć i u-trzymać jeszcze rodzinę.

Czy za to, co ostatnio stało się w Partii, jesteśmy winni my, szerego-wi jej członkowie? Nie, bo nikt z nas nie wiedział o tym, że czołowi przywódcy urządzają polowania na grubego zwierzę w rezerwatach; o tym, kto naprawdę ograbia naszą gospodarkę narodową; kto sukce-sywnie niszczy chłopów i absolutnie nie dba o służbę zdrowia, w której sytuacja stała się bardziej niż tra-giczna. Temu, co nieraz do nas do-cierało, przeciwstawialiśmy się, kry-tykowaliśmy, ale słowa trafiały tyl-ko do protokołów.

Obudził nas dopiero Sierpień — wszystkim otworzył oczy. Sierpień tragiczny, smutny, lecz jakże wywa-żony i spokojny. Uważam go za trzeci cud nad Wisłą. Ludzie nie dali się sprowokować. Wiedzieli, czego

CIĄG DAŁSZY NA STR. 3



„SYTUACJA PRZED IX Zjazdem wymaga działań skutecznych, jasnych i precyzyjnych. Wymaga również pełnej mobilizacji wszystkich sił partii przede wszystkim dlatego, iż jest ona jedyną siłą zdolną wprowadzić kraj z kryzysu i stanąć na czele dokonujących się przeobrażeń. Musimy być w pełni świadomi tego, że czynimy to dla dobra całego społeczeństwa z jego aktywnym udziałem, ale i tego, że najcięższy obowiązek i najwyższa odpowiedzialność spoczywa właśnie na nas — członkach Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. (Ze sprawozdania Komitetu Wojewódzkiego w Łomży, przygotowanego na III Wojewódzką Konferencję Sprawozdawczo-Wyborczą).

22 CZERWCA ODBĘDZIE SIĘ Wojewódzki Zjazd Związku Młodzieży Wiejskiej. Łomżyński ZMW z dnia na dzień zwiększa swoje grono. Skupia już ponad 500 osób zrzeszonych w 30 kołach. Garną się doń nie tylko młodzi gospodarze i uczniowie szkół rolniczych lecz także związana ze wsią inteligencja. Ożywił się też byli działacze i sympatycy związku. Jedną z najważniejszych cech odradzających się organizacji jest niewątpliwie jej autentycznie społecznikowski charakter. Działa ona bez etatów i biurokracji. Wraz ze wskrzeszeniem ZMW wzrasta nadzieja odnowy Ludowych Zespołów Sportowych, a nade wszystko lepszego zorganizowania życia społeczno-kulturalnego młodej wsi.

TRUDNO SOBIE WYOBRAZIĆ sprawne bytowanie mieszkańców bez dobrych szlaków komunikacyjnych. Naprawa dróg i ich budowa są inwestycjami coraz kosztowniejszymi. Dobrym przykładem mogą być gminy: Kołaki Kościelne i Kulesze. Jedną wykonała w czynie społecznym żwirówkę, druga zaś położyła na niej asfalt. Solidna nawierzchnia służy dziś z pożytkiem gminom, które znalazły wyjście z impasu bez oglądania się na administracyjne granice.

ZWIĄZEK INWALIDÓW WOJENNYCH w Łomży zrzesza 568 członków. Od 1977 roku do chwili obecnej udzielono bezwrotnej zapomogi 340 członkom na łączną sumę 735 tys. złotych; 56 osób skierowano na leczenie sanatoryjne; 10 — skorzystało z czasów wojskowych, 5 otrzymało talony na samochody specjalne. Inwalidom doskwiera jednak codzienność. W sklepie są wprowadzone tabliczki z napisem: „[...] inwalidzi wojenni obsługiwani są po kolei”, lecz ktokolwiek skorzysta z tej namiastki przywileju, musi nasłuchać się wielu przykrych słów: „Nie pracuje, to może stać”; „Tych inwalidów mamy coraz więcej”. Do przykrego incydentu doszło np. ostatnio w „Delikatesach”, przy stoisku nabiałowym. Inwalida wojskowy II grupy został przez młodego człowieka (znaczek „Solidarności” w klapie) wypchnięty z kolejki i obsypany stekiem wyzisków.

OD PRZYSŁOWIOWEGO Annasza do Kafjasza chodzą interesanci w Urzędzie Gminy Nur. Nikomu z pracowników nie jest wiadome, dokąd udał się pan naczelnik i sekretarz Komitetu Gminnego PZPR. — Obaj chętnie umawiają się z ludźmi — skarżą się mieszkańcy — ale żaden z nich nie dotrzymuje słowa i terminu. A gmina jak sierota, problemów ma coraz więcej — zwykłych, codziennych, możliwych do rozwiązania poprzez miejscowe władze, przy odrobinie dobrych chęci z ich strony. Np. pracownicy nie mogą zrealizować swoich kartek, bo po godzinie 15.00 już nie ma w sklepie — czy nie można by temu zaradzić?

PREZYDIUM RADY Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych w Sokolach coraz śmielej przystępuje do obrony interesów rolnika. Ostatnio wydało wszystkim solty-

som sokołowskiej gminy polecenie sporządzenia wykazów rodzin chłopskich w celu sprawiedliwego przydziału proszków do prania. Mamy nadzieję, że za tym przykładem pójść również chłopskie organizacje pozostałych gmin.

Z INICJATYWY Barbary Bogdanowicz, Danuty Dobrzyckiej i Wojciecha Trockiego, powstało przy ZOZ-ie w Grajewie pierwsze w Łomżyńskim koło Związku Młodzieży Demokratycznej.

MIEJSKA ORGANIZACJA PARTYTJNA w Łomży wydała pierwszy serwis informacyjny, w którym znajdujemy m.in.: relacje z przebiegu konferencji programowo-wyborczej KM PZPR, zle i dobre jej strony, protokół z pierwszego posiedzenia egzekutywy miejskiej instancji partyjnej. Największą publikację stanowi pełny wykaz delegatów na III Konferencję Sprawozdawczo-Wyborczą, w której uwzględniono imię i nazwisko, rok urodzenia rok wstąpienia do partii, wykształcenie, miejsce pracy i stanowisko oraz funkcję partyjną.

WE WSI KUPNINA pewna starsza kobieta — jak mówią — „mieszkanca stolicy gminy” oferuje miejscowym gospodyniom proszki do prania w cenie 100 złotych za paczkę.

MIESZKAŃCÓW NOWOGRODU zdziwił widok leżącego w rowie zjeżdżającego smalcu, zepsutej słoniny i spleśniałej maki. Wtajemniczeni powiadają, że być może jest to wynik gromadzenia zapasów żywności przez dwie zapobiegliwe, mieszkające w pobliżu emerytki.

JEDEN Z POSIADACZY samochodu fiat 125p z Łomży kazał sobie napisać w nowogrodzkiej CPN-ie trzy pełne karnistry benzyny oświadczając, że wyjeżdża na wczasy na Mazury. Okazało się jednak, że pojechał nie tam, a w kierunku Łomży. Na co inny kierowca z kolejki poprosił agenta o książkę życzeń i zażaleń, wpisując skargę. Rozżalony agent oświadczył: — Na co mi to było. Nikomu więcej nie wleję!

CHOCHLIK DRUKARSKI zmienił w nr 22 „Kontaktów” w tekście „Tu Jego korzenie”, miejscowość, w której urodził się Stefan Wyszyński. Poprawna nazwa brzmi: wieś Zuzela. Czytelników i autora przepraszamy.

O PONOWNE UTWORZENIE gminy Przytuły głośno dopominają się jej mieszkańcy. Żądanie to, wraz z jego szeroką motywacją, prezentowaliśmy niedawno na łamach „Kontaktów” nr 19 (reportaż Danuty i Aleksandra Wroniszewskich pt. „Ucałuj władzę pod nogi”). Informujemy, że „za” — choć nie bez pewnych obiekcji — jest również wojewoda Jerzy Zientara, który 22 maja skierował do Ministra Administracji,

Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, Józefa Kępy opinię takiej treści:

„W związku z ponownym wnioskiem mieszkańców byłej gminy Przytuły dotyczącym jej reaktywowania uprzejmie informuję Obywatela Ministra o mojej zgodzie — przy istnieniu pewnych obiekcji i uwarunkowań.

1. Wnikliwe badania zasadności wspomnianego wniosku przeprowadzone przez pracowników Ministerstwa Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska jak i powołany przeze mnie roboczy zespół kierowników zainteresowanych jednostek potwierdzają istnienie na tym terenie elementarnej infrastruktury społeczno-gospodarczej. Wymaga ona rozwoju i ewentualnej rozbudowy, nie mniej jednak aktualnie na najbardziej niezbędnym poziomie zabezpiecza potrzeby mieszkańców.

2. Utworzenie nowej jednostki poprawi aktualną sytuację poprzez zmniejszenie odległości dla części mieszkańców do siedziby władz gminnych. Są natomiast pewne obiekcje, czy utworzenie nowej jednostki w istotny sposób poprawi obsługę tamtejszego społeczeństwa, zwłaszcza do czasu rozbudowy aktualnie istniejącej infrastruktury.

3. Utworzenie nowej jednostki administracyjnej wymagałoby będzie zorganizowania bazy lokalowej, jej wyposażenia jak i przemieszczenia z siedzibą jednostek około 10 pracowników oraz uzyskania dodatkowych przynajmniej 10—12 etatów z Ministerstwa Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska wraz z odpowiednim funduszem plac. Przy tym pragnę zaznaczyć, że przeciętne roczne wydatki na utrzymanie administracji tej nowej jednostki kształtowałyby się na poziomie ponad 3 mln zł.

4. Podane wyżej szacunkowo dane wynikają z analizy tegorocznych budżetów GRN i aktualnej obsady kadrowej urzędów t.o.a.p. stopnia podstawowego przy założeniu przeciętnej wielkości tej gminy. Oceniam, że byłaby to średnia gmina pod względem obszaru (około 10 tys. ha), liczby ludności (ponad 4 tys. mieszkańców), liczby sołectw (30) i liczby gospodarstw rolnych (ponad 900).

5. Istotnym dla sprawy jest też brak poważniejszych perspektyw rozwojowych tej jednostki chociażby ze względu na bliskie położenie dwóch miast — Jedwabne i Stawiski (11 i 10 km).

Mając świadomość wszelkich związanych z tworzeniem nowej jednostki implikacji wyrażam pozytywną opinię do aktywnie podnoszonego wniosku przedstawicieli poważnej części mieszkańców byłej gminy Przytuły”.

nieustający konkurs na „zdarzenie”

Jeśli w Twoim mieście, osiedlu, wsi, a nawet w domu zdarzyło się coś, o czym chciałbyś poinformować innych — opisz to i przślij na nasz adres: redakcja „Kontaktów”, 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, z dopiskiem na kopercie „Zdarzenie”. Nie zrażaj się wątpliwościami typu: czy to na pewno kogoś zainteresuje? Za drogowskaz winno Ci służyć jedno: zainteresowało to Ciebie!

Zapraszamy wszystkich Czytelników do współpracy, gdyż chcemy by nasze zdarzenia oddawały najpełniej rytm życia województwa łomżyńskiego, każdego z jego zakątków, do których sami nie zawsze jesteśmy w stanie dotrzeć. Wybierajcie to, co wydaje się Wam ciekawe w życiu publicznym i rodzinnym. Informacje o własnych, cudzych; udanych i nieudanych inicjatywach; o godnych uwagi pomysłach (nawet tych najbardziej szokujących); o odkryciach nietuzinkowych ludzi; rzeczach śmiesznych i smutnych; o złotych i srebrnych godach, jubileuszach pracowniczych; autentycznych społecznikach; o hobbystach; o szokujących samobójstwach i tragediach; o ludziach znających stare pieśni, melodie, legendy, bajki, przysłowia, opowieści o rzadkich już umiejętnościach czy zawodach (zielarze, wróżbici, ródźkarze, kosterzy, ludowi rzeźbiarze i malarze, lunatycy, wywoływacze duchów itp.). O nowych i starych, ale interesujących domach i zagrodach. Możecie też nadsyłać połówki i świeże listy rodzinne, mimowolnie śmieszne listy urzędowe, nakazy, wyroki, powiadomienia, zdjęcia, a także hasła uliczne... słowem wszystko, co prosto z życia.

Autora najlepszej, najciekawszej informacji miesiąca wyróżnimy specjalną nagrodą „Kontaktów”, a za wykorzystany tekst (sygnał) zapłacimy honorarium według obowiązujących stawek.

REDAKCJA

punkt widzenia

tryptyk bzaurstw

KUP PAN STARUSZKA

Redaktor Gocel z Redakcji Rolnej TV, poszukując sposobów realizacji hasła „Zielone światło dla rolnictwa”, wpadł na kapitalny — jego zdaniem — pomysł wysyłania z miasta na wieś rencistów. Zeby pomagali co sił w pracach rolnych. Pan redaktor trochę się nawet już denerwuje i niecierpliwi, że chłopci nie kwapią się ze składaniem zamówień na staruszków. Otóż, panie redaktorze, chcę poinformować, że czegoś takiego, ale staruszków z miasta wieś najmniej potrzebuje. Ma wystarczającą dużo własnych i to w nadmiernej ilości, w dodatku często bez renty czy emerytury. A w ogóle, to trochę człowiek się dziwi, jak — wydałoby się — poważni ludzie liczą na to, że jeżeli trzeba będzie ograniczać zatrudnienie w przemyśle, to najprostszym rozwiązaniem stanie się wysłanie ich na wieś. Panowie! Gdyby tak można było robić, to nie istniałby w ogóle na świecie problem bezrobocia. Bylibyśmy jedynym krajem na świecie, w którym normalny proces zmniejszania zatrudnienia w rolnictwie zostałby odwrócony. Tylko, czy o takie „przodownictwo” nam chodzi?

SZKOŁA WYRZUCANIA DYREKTORÓW?

W wywiadzie, jakiego udzielił Adam Skowroński („Solidarność” nr 21/35) znalazłem taki dialog: „Od tamtego czasu do dzisiaj wyrzuciłeś ze stanowiska ok. 100 dyrektorów”. Odpowiedź A. Skowrońskiego brzmi: „Tak, jest to trochę liczba zaniżona. Udało nam się wyrzucić około stu kilkadziesiąt. Wydało mi się, że udało mi się z pomocą pracowników i teoretyków prawa z Uniwersytetu Wrocławskiego stworzyć swoistą szkołę interwencyjną, bardzo skuteczną jak się później okazało. Była to wrocławska szkoła skutecznej interwencji w stosunku do skorumpowanej kadry kierowniczej”.

A ja naiwny myślałem, że co jak co, ale wyrzucenie dyrektora, jeżeli coś przeszkadza, jest bardzo prostą sprawą. Wydawało mi się ponadto, że ważniejsze jest stworzenie „szkoły”, która ukróciłaby raczej popełnianie błędów przy ich powoływaniu.

W dalszej części tej rozmowy A. Skowroński jednak i ten dylemat rozwikłał: „Jeżeli nie ma kandydata „Solidarności” na wolne stanowisko dyrektora, to proponujemy zorganizowanie konkursu publicznego”. Proste. A swoją drogą, czy rzeczywiście w naszym kraju skazani jesteśmy na dyktaturę, niezależnie od przymiotnika, jaki jej towarzyszy?

WAKAT POD SZAFOTEM

W rozmowie z A. Drozdowskim i J. Dzieniszkiem, szefami WKPP w Łomży („Gazeta Współczesna” nr 108), czytamy: „WKPP bada też prawidłowość nabycia materiałów i wzniesienie domów jednorodzinnych, których wartość przekracza 700 tysięcy złotych”. I dalej wymienia się kilka nazwisk. Od kiedy — chciałoby się zapytać — sam fakt posiadania domu o wartości 700 tysięcy złotych ma być ogłaszany w prasie? Od kiedy to sam fakt podjęcia badań w stosunku do obywatela ma być podawany do publicznej wiadomości? Przecież z wypowiedzi jednoznacznie wynika, że sprawę dopiero się bada i wyrok jeszcze nie zapadł. A jeżeli okaże się, że wszystko jest w porządku, to co wtedy? Sam tytuł wywiadu: „Plon rozliczeń” niejako sprawę rozstrzyga, nie dopuszczając do głosu innych ocen. Więc o co chodzi? Czy tylko o — odwracający uwagę od innych, ważniejszych spraw — szum? Czy może o nie pozostawienie wolnego miejsca pod publicznym szafotem?

FAJA

chcą. Byli zrównoważeni, rozsądni, konsekwentni, dojrzały do tego, co przyszło im przeżyć i wywalczyć.

Tego falującego tłumy nie uciszy już nikt i nic. Falują też struktury poziome — ramię doradcze, pomocne dla przedstawicieli władzy. Mam nadzieję, że wszystko uciszy się po IX Zjeździe i rozpoczęta odnowa na trwałe wejdzie do naszego życia publicznego, społecznego, politycznego, gospodarczego.

Co powinniśmy, jako członkowie Partii, zrobić w pierwszej kolejności? Musimy przede wszystkim odebrać Polskę tym, którzy ją sobie przywłaszczyli i oddać ją prawowitym właścicielom. Nie możemy pozwolić na to, aby skłócono SB, MO, Partię i „Solidarność”, bo to nie uczciwym Polakom o to chodzi. Musimy działać sprawiedliwie i nie dopuścić, by nadal byli kryci sprawcy bydgoskiej prowokacji czy odpowiedzialni za karlińską ropę. Powinniśmy żądać bezwzględnego ujawnienia osób, które hamują proces odnowy — jedyną szansę naprawy Rzeczypospolitej.

Odnowa jak bajka

HENRYK KACZYŃSKI, I sekretarz Komitetu Gminnego PZPR w Zarębach Kościelnych: — Na pewno wystąpię na Wojewódzkiej Konferencji ze sprawami, które są bardzo ważne dla każdego mieszkańca naszej gminy. O rozwiązanie ich ubiegamy się już od wielu lat — bez skutku. Najpilniejszą z nich jest niewątpliwie budowa ośrodka zdrowia — ma bardzo bogatą historię. Wprawdzie fundamenty są już zalane, kikuty ścian sterczą, ale chorzy muszą dalej jeździć 50 kilometrów do Wysokiego Mazowieckiego. Gmina Zaręby Kościelne liczy 7 tys. mieszkańców, a dopiero ostatnio doczekaliśmy się stomatologa. Pracuje jednak tylko na pół etatu, więc o uzębieniu naszych mieszkańców, szczególnie dzieci, lepiej nie mówić. Przez wiele lat nikt go nie kontrolował, a kogo bolał ząb, musiał jechać albo do Ostrowi, gdzie nie był wcale przyjmowany z otwartymi rękami, bo to inny rejon; albo do Wysokiego Mazowieckiego.

W starym ośrodku jest gorzej niż źle — warunki pod psem. Zimą można siedzieć tylko przy piecu. Ciasnota. Ile razy patrzę na tę rozpoczętą inwestycję, tak bardzo nam potrzebna, szlag mnie trafia. Dokąd można nas zwodzić brakiem wykonawcy? Taką odpowiedź — uniwersalną, pasującą do każdego roku — ma dla nas zawsze na podorędziu dyrekcja wysokomazowieckiego ZOZ-u. Monity, interwencje — nic nie pomaga. Sprawa uparta jak osioł.

Myślę, że nie byłoby tych paradoksów, gdyby częściej zaglądali do nas władze wojewódzkie. Wojewoda Jerzy Zientara ani razu swojej stopy Ziemią Zarębowskią nie skalał. Trzy razy, przypadkiem, odwiedził nas wicewojewoda Wacław Redliński, raz zajął Ciupa. A przecież tyle teraz mówimy o sprawnej informacji — od władz centralnych do województwa, z województwa do gminy. O czym tu mówić? Na połączenie telefoniczne z Łomżą czekam pół dnia, bo wprawdzie jest bezpośrednio, lecz z reguły nie działa. Gdy pilna sprawa, zapalam samochód i jadę do kogo trzeba. Pięknie brzmią słowa o odnowie: czasem jak bajka, czasem jak legenda o zamierzonych czasach. U mnie w gminie odnowy nie ma. Nie mogę jej także doszukać się w województwie. Urzędy pracują tak samo. Zajdziesz, to tego nie ma, tamten wyjechał, jeszcze inny się zawieruszył.

Pracownikom administracji w Zarębach zwracałem uwagę wiele razy. Chłop, gdy przychodzi do urzędu, zwraca się najczęściej z bardzo pilną sprawą. Nie można jej odkładać, ani odsyłać, tylko z miejsca trzeba załatwić. Niestety, jest inaczej. Wielu rolników przychodzi bezpośrednio do mnie z prośbą o interwencję. Czy zawsze jestem w stanie im pomóc? Nie. Sekretarz Komitetu Gminnego musi robić sprawozdania prawe dla każdego towa-

rzysza w KW oddzielnie, czytać dyrektywy, robić szkolenia partyjne na zadane tematy, najchętniej światopoglądowe. Żal mi papieru, który idzie na te cele. Tyle mówimy o odnowie, o postępie, a sama Partia jest dalej biurokratyczną machiną.

Często słyszę też od innych, że aparat partyjny jest rozbudowany. Zgadza się. W Komitecie Wojewódzkim pracuje wiele osób, a w gminie sam sekretarz. Będę postulował, aby wzmocnić gminny aparat partyjny przynajmniej jednym etatem, właśnie kosztem etatów KW. Będę także upominał się o to, aby o tematyce szkoleń decydowali sami członkowie danej POP. Bo jaka była praktyka: przyjeżdżali do nas lektorzy i czytali „Notatnik Lektora”. Tacy ciemni, to my nie jesteśmy i czytać potrafimy sami. Jeśli zaprosimy kogoś z zewnątrz, to takiego człowieka, który naprawdę będzie nam miał coś do powiedzenia.

Dreżczy mnie wiele innych spraw, jeszcze zupełnie nie wiem, czy będę o nich mówił na konferencji. Jest okazja, by znów, przed wszystkimi władzami wojewódzkimi wyzalić się, wyplakać nad tymi decyzjami, pod którymi widnieją i ich podpisy. Wielu mieszkańców Zaręb dojeżdża np. do pracy w Ostrowi. Autobusów na naszych drogach kursuje coraz mniej. To prawda: szlaki komunikacyjne nie są w najlepszym stanie, w ostatnich latach niewiele się zmieniły, ale kursów autobusów tak nagminnie zmniejszać nie wolno, bo to już zaczyna paraliżować życie społeczne. Inna sprawa. Również od wielu lat ubiegamy się o meliorację. W Łomży wiedzą o tym dobrze wszystkie służby rolne. Jest to podstawowy problem naszej gminy. Setki rolników nie może przez to uprawiać ziemi tak, jak chcieliby. Gdy sucho — źle, i jak mokro — źle. A na żywność czekamy przecież wszyscy.

Gdzie były władze?

KAROL MODZELEWSKI, rolnik ze wsi Modzele Górki w gminie Rutki: — Nie mam jeszcze dokładnej sprecyzowanej wypowiedzi, ale na pewno nie zabraknie w niej spraw, z którymi rolnicy w mojej gminie borykają się od wielu lat. Mamy żwir, a nie idzie on na nasze potrzeby społeczne — budowę dróg, obiektów użyteczności publicznej — lecz wywożony jest do sąsiednich gmin, a nawet dalej — do Zambrowa, Szepietowa. Nie wiemy, kto za to bierze pieniądze i na jaki cel je przeznacza. Naczelnik w Rutkach to car i Boh. Robi, co chce; rządzi, jak chce. Dzieli między swoich.

Bardzo mnie martwi fakt, że część elementu, który osłabiał partię, przeszedł do „Solidarności” i próbuje rozłożyć nasz związek zawodowy, związek wyuczony przez dziesięciolecia, wywalczony głodówkami — autentyczny zawodowy związek rolników indywidualnych.

Na pewno też zechcę się zapytać, gdzie były nasze władze wojewódzkie w poprzednich latach. Nasze województwo jest pokrzywdzone, wręcz upośledzone w krajowych rozdziałach maszyn i środków. Wystarczy porównać przydziały na województwa łomżyńskie, z przydziałami dla innych województw. Nie ma się teraz czemu dziwić, że na przykład czegoś się dotknąć w rolnictwie, to jest takie słabutkie, że ino podpieraj, aby całkiem się nie przewróciło.

Mamy w Rutkach spędy. Bydło do masarni przywożone jest trudno wiedzieć skąd. Nasze wywozi się, nie wiem, dokąd. I to się nazywa: oszczędności paliwa, sprzętu i planowa gospodarka?

Młodzież — dekoracja

MARIA CHABEREK, sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR w Łomży: — Nas, młodych, bardzo boli kryzys autorytetu Partii, zmusza do refleksji i podjęcia działań na rzecz jej uzdrowienia i odnowy. Moja POP zobowiązała nas, delegatów, do przekazywania uwag z zakresu umac-

O czym musimy powiedzieć

niania demokracji i dyscypliny wewnątrzpartyjnej, partneri ślego traktowania młodego pokolenia.

Dotychczasowe praktyki przyjmowania młodych w szeregi partii opierały się na odgórnym dyktandach. Zamiast organicznej pracy z kandydatami liczyła się statystyka, wskutek czego szybko rozrosła liczebnie organizacja stawała się coraz mniej spójna. Zanikał wręcz kontakt szeregowych członków Partii z Komitetem Miejskim i Wojewódzkim. Problemy te należy uporządkować — zawsze musi znaleźć się czas na dobrą informację i ścisłą więź zarówno w pionie POP, jak i w poziomie. Najbardziej doświadczeni towarzysze powinni służyć radą i pomocą tym, którzy do Partii wstąpili niedawno.

Pomimo tylu słów i obietnic, także przez towarzysza Kanię, nadal odczuwam zupełny brak informacji partyjnej i społeczno-gospodarczej. Byliśmy zagubieni w Sierpniu, bo nikt nie był w stanie przygotować nas do spotkań z młodzieżą, w których trzeba było wykaazać się wiedzą i przekonaniem słuszności głoszonych sądów. Problemów tych nie rozwiązał również komitetowy „Kalejdoskop”. W moim odczuciu i wielu innych towarzyszy — gazeta kiepska, serwująca przedruki z prasy codziennej, dostępnej każdemu. Aby odpowiadała zapotrzebowaniom członków Partii, jego zawartość merytoryczna musi ulec zmianie.

Uważam też, że młodzież w Partii ma nadal charakter przedmiotowy i dekoracyjny, a nikt na serio nie myśli o jej problemach. Wiadomo było, że zbliża się wyzwanie demograficzne i co mu zapewniono? Zapchane żłobki, szkoły, brak mieszkań. W Łomży, na przykład, nie ma bazy do rozwijania kultury i oświaty; nie ma pracowni, w których rozwijałyby się młode, twórcze umysły; czytelnicy. Wiele razy mówiliśmy o Centrum Kultury Dziecięcej i Młodzieżowej — i nadal cisza. A weźmy sprawy młodzieży uczącej się. Stancje są coraz droższe, a miejsc w internatach nie przybywa — ta sama kropla w morzu potrzeb.

Niedoinwestowane są nie tylko takie miasta jak Łomża. Jakże smutny jest los młodego rolnika, nauczyciela wiejskiego, młodzieży na wsi. Dlatego twierdzą, że konieczne jest opracowanie koncepcji partyjno-rządowej, gwarantującej równy start dla całego młodego pokolenia.

Ciągłe w ogonku

JOZEF BORAWSKI, pracownik działu zaopatrzenia w „Powogazie” w Łomży: — Jeszcze nie mam przemyslanego głosu. Wiem tylko, że koniecznie zechcę mocno podkreślić problemy życia młodych rodzin w Łomży, gdyż ich los bardzo mnie boli. Kolejka po mieszkanię wydłuża się; w żłobkach przepełnienie; brakuje przedszkoli. Dokąd można czekać, ludzić się, mieć nadzieję? Nie możemy dopuścić do tego, aby życie młodej polskiej rodziny upływało na czekaniu na miejsce: w bloku, w żłobku, w przedszkolu, a nawet w szkole. Przecież wiadomo, że jak wychowamy nasze dzieci — takie będzie przyszłe pokolenie.

Przymierzam się także do tematu budownictwa patronackiego w naszym mieście. Ma ono swoje plusy i minusy, a największy — to zmiany naszych budynków na inne, opóźniane terminy ich przekazywania do użytku. Jakby młodzież miała czas na wszystko i mogła tylko... czekać.

Zechcę zwrócić uwagę na to, że Łomża jest naprawdę pięknym miastem i samo malownicze jej położenie zmusza nas do troski o porządek. Niestety, praktyka jest inna. Śmietniki są źle obudowane — kompletne prowizorki; pojemniki opróżnia się od święta; nowe chodniki — a już z dziurami. Żle to świadczy o mieszkańcach miasta, ale także i o jego władzach.

Zacząć od kromki chleba

ZOFIA JANUSZKIEWICZ-DIAKOWSKA, kierownik służby rolnej w gminie Nur: — O wielu sprawach muszę powiedzieć, lecz przede wszystkim o naszej służbie dla rolnictwa. Instruktorów na gminę jest trzech. Mają do obsługi 1200 gospodarstw — więc na jednego wypada 400 zagrod. Nie byłoby to jeszcze największy problem, gdyby instruktor rolny miał czym dojechać do rolnika. Lecz niestety, musi liczyć, albo na własny środek lokomocji albo na autobus. Jeśli nawet pieniądze są, to czy on może kupić samochód? Autobusy zaś coraz „radzykalniej” wycofuje się z tras. Oszczędność paliwa, brak części zamiennych — tłumaczy się nam najczęściej, a my dojechać musimy. Przecież pieszo do chłopa nie pójdziemy, bo nigdy nie zdążymy wywiązać się ze swoich obowiązków.

Mówimy: — Służba rolna ma wcielić w życie najnowsze techniki gospodarowania. Jak? Czym? — Nawozów nie ma, środków owadobójczych nie ma, środków ochrony roślin — to samo. Z czym mamy iść do rolnika? Z dobrym słowem? To może ksiądz. Zachęcaliśmy rolników do siania kukurydzy — zasiali. Teraz nie ma środków do jej ochrony. Przychodzą, dowiadują się, tracą niepotrzebnie czas. Mają do nas żal, że ich przed tym nie ustrześliśmy. A my skąd mieliśmy wiedzieć? Nikt nas nie informował. Teraz do gminy przywieźli nam „Wenzel”, ale nie dziwię się, że nie chcą go brać, bo to żaden środek, chyba że na zamydlenie oczu.

Mamy, według różnych instrukcji, zachęcać rolników do stosowania wielu rzeczy. Abstrakcja to i utopia, bo ich nigdzie nie ma. Sprzęt, to marzenie: kilkudziesięciu przypada na jeden ciągnik, a z maszynami towarzyszącymi jest jeszcze gorzej. W tej chwili przeglądam właśnie przydział na kolejny kwartał. Niewiele więcej niż w ubiegłym roku.

Ale co tu mówić o maszynach, o środkach do ochrony roślin, częściach zamiennych czy samochodach dla służby rolnej. W Nurze coraz częściej zaczyna brakować chleba. Zaopatruje nas piekarnia w Zarębach Kościelnych. Raz przywieź, drugi raz — nie. To nie mają czym, to znów nie mają co, bo przeszkoziła awaria. O tym także muszę na konferencji powiedzieć.

Notował STANISŁAW ZIELIŃSKI

Wszystko
postaw



stare błędy w nowej oprawie

Obrady konferencji sprawozdawczo-wyborczej w Kłukowie odbywały się w atmosferze gospodarskiego frasunku, choć bez sporów i krytyki dotychczasowych władz gminnych. Zarzuty padały wyżej — ponad naczelnika i wojewodę, aż do władz centralnych: za brak właściwej polityki cen, środków produkcji rolnej, błędy w gospodarowaniu wspólnym dobrem narodowym, niewłaściwy przepływ informacji, znikome wykorzystanie wykwalifikowanych kadr.

Rolnik z Zabińca, osiadły na około 10 hektarach, członek Partii od 1956 roku stwierdził z gorczy: — Nie trzeba nam tłumaczyć, bo jako chłopcy indywidualni, z którymi ustrój socjalistyczny nie wiedział co zrobić — już tyle razy dostawaliśmy od Państwa w tylek za jego błędną politykę rolną, że widzimy, co się dzieje. Mamy w kraju tylu ekonomistów. Na każdego z nich społeczeństwo wyłożyło pół milio-

na złotych. Pytam się teraz, gdzie oni są? W tej chwili kraj potrzebuje ich najbardziej. Nowe ceny powtarzają tylko stare błędy.

Za zboże płaci się 950 złotych za metr. Za kilogram żywności 86 złotych. Aby uchwalić swinię do 100 kilogramów, potrzeba nam co najmniej 5 metrów paszy. Po odtrąceniu kosztów karmienia zostaje mi na rękę niewiele ponad tysiąc złotych, za co jeszcze muszę kupić węgiel, którego nie ma już za darmo, serwatki — podrożała ostatnio z dwóch groszy do szesnastu za litr. Reasumując te wszystkie wydatki i zyski — wypada mi jeszcze grubo dolożyć do tego interesu.

Gdzie są więc te warunki do hodowli, którymi zachęcają się po ostatniej podwyżce cen prasa, radio, telewizja? Aby coś powiedzieć, trzeba to najpierw przemyśleć, a nie klepać, aby klepać, bo chłop nie jest głupi, i już w butelkę nabić się nie da.

Inna sprawa. Przychodzę do magazynu po mieszkankę. Według nowego zarządzenia mam jej otrzymać 80 kilogramów za każdą zdana sztukę trzody chlewnej. Na maciorę przysługuję mi 200 kilogramów, na warchlaki — nie, choć każdy wie, że powietrzem ich nie wychowam. Żadnej świni nie wytłumaczę, aby ograniczyła się w żarcie tylko do glodowej racji. Wymaga ode mnie przynajmniej kilka razy więcej, jeśli nie kilkanaście. Ale i te dietetyczne racje są marzeniem ściętej głowy. Ktoś wymyślił, żeby to, co jest, dzielić sprawiedliwie. I tak

się robi. Wypada na głowę po 2-3 statystyczne woreczki. Tyle dostaje rolnik, który ma sto sztuk świń, i tyle samo, który trzyma zaledwie trzy-cztery. Magazynierzy wydają na zlecenie, a każdy, kto zda swinię, kawalek tego świstka posiada. Gdzie jest rozsądek, który z reguły chodzi w parze ze sprawiedliwością? Z jednej skrajności popadamy w drugą i sami zarzynamy własną produkcję zwierzęcą.

Gdyby mięso było droższe, a zboże tańsze, taki układ cen na pewno sprzyjałby rozwojowi hodowli. Ale kto ma nad tym pomyśleć? Prawdziwie po polsku zastanowić się? Chłopa to dotyczy, więc niech chłop myśli. I tak tego, co uchwala, nie wywiezie za granicę, bo mu nikt na to nie pozwoli.

W sytuacji, jaka jest teraz, świń chował nie będę, bo nie stać mnie na kupowanie dla nich na rynku mieszanek po 1-2 tysiące złotych za metr.

W dalszej dyskusji dominowały nieco inne nurty: gospodarczy, partyjny, oświatowo-wychowawczy. W każdym z nich nie zabrakło słów rozczarowania, głębokiej chłopskiej troski o dzień jutrzejszy. Powracał nieustannie problem melioracji, szczególnie ważny dla całej gminy. Są obietnice, lata upływają, a setki kłukowskich gospodarzy, chcąc jeśnienią sprzątnąć buraki, wzdycha do słońca i prosi Boga o przymrozek, bo inaczej topią się ciągniki, wozy i konie. Przedstawiciel WZIR-u Zdzisław Maślanski najpierw zrobił wykład na temat ogólnych danych

melioracji w kraju i województwie, czego rolnicy wysłuchali raczej ze zniecierpliwieniem, po czym skłonił ich do oczekiwań: — W gminie Kłukowo melioracja ruszy dopiero w połowie lat osiemdziesiątych. Będzie miała charakter kompleksowy i obejmie prawie 500 hektarów pól. — Znów skończyło się na obietnicach — mglistych, niepewnych, uzależnionych od wielu „obiektywnych przyczyn”.

Dyrektor SKR-u Tadeusz Koc ubolewał nad stanem swojej instytucji: — Ostatnio bardzo dużo narzeka się na nas. Ale tak między Bogiem, a prawdą, to co możemy zrobić? Poprzednio z dwóch kultywatorów składaliśmy jeden. Teraz coraz częściej przychodzi nam to robić z trzech. Brakuje najprostszyszych śrubek, nie mówiąc już o innych, bardziej skomplikowanych częściach. Dobrze zaopatrzony serwis, prowadzony przez fabryki, które je produkują stał się nieosiągalnym marzeniem. Mówi się o nas: pracownicy eskaeru są niedobrzy, bo gdy robota w polu, oni wzięli się za strajki. Nie jest to prawda, bo upominaliśmy się o swoje, lecz i wykonywaliśmy należące do nas obowiązki. Ale nie do pomyślenia jest, aby traktorzysta nie miał proszku do umycia rąk. Przecież ciągle obcuje ze smarami i to minimum higieny należy mu się, bo inaczej będzie wyglądał jak Murzyn. Co o nim powiedzą jego dzieci? Jak to wpłynie na ich wychowanie?

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Kolejny etap kampanii programowo-wyborczej w łomżyńskiej organizacji partyjnej, daje asumpt do kilku refleksji. Wynikają one z obserwacji zebrań i konferencji partyjnych oraz rozmów z członkami partii i bezpartyjnymi. Tu dwa zastrzeżenia z racji zbliżającej się konferencji wojewódzkiej: refleksje moje nie pretendują do miana podsumowania, nie są też próbą manipulowania nastrojami.

DEMOKRACJA. Jej definicję znają wszyscy, ale przecież sztywna formułka daleko od praktyki odbiega. „Żeby było demokratycznie”, „Bo to demokratycznie”, „Nareszcie demokracja” — słyszy się na każdym kroku. Często — gęsto argumentuje się w ten sposób działania całkowicie ze sobą sprzeczne, wzajemnie wykluczające się, ba, nie mające nic z demokracją wspólnego. Osobiście zaczynam odczuwać przesyt tego typu sformułowań zaciemniających obraz właściwych interesów ludzi czy grup, a odczuć to podziela większość ludzi. Mówienie o demokracji jej samej nie zastąpi. Ten banal można wesprzeć następnym — demokracja wymaga wiedzy o konkretnych problemach i kultury wypowiedziania się. Niestety zdarzyło się te braki odczuć w sposób żenujący.

ROZLICZANIE CZY NAGONKA? Na konferencji w Łomży jednému z towarzyszy kazano się wytłumaczyć z budowy jednorodzinnej domku. Coś jest nie tak, stwierdzono, skoro sprawę bada Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej, a fakt ten podano w „Gazecie Współczesnej”. Pomówiony zrzędnął z kandydowania do władz, żądając powołania komisji, która by ten zarzut wyjaśniła. Typowy przykład atmosfery namietności, w której pomówienie oznacza natychmiastowe skazanie. Bez dowodu. Nic więc dziwnego, że właściciele domków czy dach zostali po prostu „uziemieni”, woła siedzieć cicho.

Oczywiście nie krytykuję tu dążeń do rozliczenia różnej masy prominentów z metod i sposobów podejrzanie szybkiego wzbogacenia się, kosztem pozostałej części społeczeństwa. Uważam jednak, że hałas, jaki przy okazji powołania różnego rodzaju machlojek się czyni nie służy wyswietleniu rzeczywistych przyczyn doprowadzenia kraju do gospodarczej katastrofy. Stwarza tylko pozory, że coś się robi. „Po co — zapytał na konferencji w Andrzejewie jeden z rolników — powołano komisję Grabskiego? Niech złodziejami zabierze się prokuratura. Mną by się zajęła. Czyżby niektórzy stali po drodze?”

A co to takiego, te błędy polityczne — chciałoby się zapytać. Czy uznać za takowy fakt podejmowania decyzji o strategicznym dla państwa znaczeniu bez analizowania potrzeb gospodarczych i społecznych? Czy wyrzucanie dewizowych kredytów na leżące dziś w błocie, nikomu niepotrzebne, licencje — z jednej strony; i aprobowanie tego

— z drugiej — to błąd polityczny? Za takie „błędy” ludzie na niższych szczeblach odpowiadają z art. 217 k.k. — za niegospodarność. Albo celowe fałszowanie statystyki. Ten wątek należałoby rozwinąć — taka propozycja, nie wiem czy przekazana do Komisji Zjazdowej, padła na konferencji w Łomży. Polityczne rozliczenie satysfakcjonowałoby nie tylko członków partii, ale i społeczeństwo przynajmniej pół roku temu.

KAWA NA ŁAWIE, czyli czas zajrzeć za kulisy. Według najdobitniej to żądanie ogółu przedstawił w imieniu organizacji partyjnej przy Przedsiębiorstwie Przemysłu Spożywczego w Łomży I sekretarz KZ, Stanisław Kaseja. Każde wyjście z kryzysu utrudnia ogólnikowość pseudoanaliz. Mówi się o siłach zachowawczych czy postępowych, grupach, skrzydłach, potęgę się dyskusje o frakcjach. Wiesz gminna niesie, że ten jest „twardogłowy”, ów zaś „radykal”. To nie wystarcza. Ludzie chcą wreszcie znać mechanizmy rządzące polskim błędnym kołem kryzysów. — Co się stało — spytało się w Łomży — że tow. Gomułka, który za głoszenie „polskiej drogi do socjalizmu” poszedł do więzienia, nagle po objęciu władzy przechodzi na pozycję swych oponentów sprzed 1956 r.? Dlaczego duch odnowy, który wybuchł strza-

żyńskiej „Bawelnie”, Jan Łukasik stwierdził wprost: — Od wyników wyboru do KM, KW i władz centralnych zależy istnienie naszej organizacji. Na krótko przed sierpniem mieliśmy ponad 600 członków, teraz — około 300. Legitymacje wiążą w powietrzu. I to nie jest tylko sprawa „Bawelny”, również innych organizacji zakładowych. Nikt nie ma monopolu na sekretarzy.

Wyniki wyborów w woj. łomżyńskim nie potwierdziły jednak całkowicie tych dążeń do postawienia na czele organizacji innych ludzi, dążeń wspartych wszak rewolucyjnym wręcz i w pełni demokratycznym regulaminem. Z 40 instancji podstawowych aż w 29 dotychczasowi I sekretarze pozostali na swoich funkcjach. Znacznie zmieniły się jedynie składy komitetów i egzektyw, chociaż też w stopniu niedowalającym najbardziej radykalnych. Wydaje mi się, że ta rozbieżność między wynikami a oczekiwaniami jest efektem przede wszystkim generalnego niedostatku kadry oraz braku chętnych do pełnienia, znajdujących się pod społecznym przebiegiem, funkcji. Przykład: w Kuleszach Kościelnych i Piekutach właśnie to ostatniego powodu nie wybrano I sekretarzy KG, a w Goniądzu funkcja ta będzie pełniona społecznie. W Łomży i Zambrowie radykalnie nastawione organiza-

mentanta miejskiego MO Ryszarda Wądołowskiego o znikomej transmisji potrzeb i odczuć społeczeństwa łomżyńskiego na forum ogólnopolskie, małej aktywności przedstawicieli tego regionu w Komitecie Centralnym i Sejmie. Przykładałoby także ogólnej argumentacji nauczyciela Antoniego Mosiewicza, który uzasadnił, że zmiany kadrowe są zasadniczym elementem przeciwdziałania procesom wynaturzenia, deprawacji władzy.

W woj. łomżyńskim — co niektórych martwi — nie mamy do czynienia z aferami, nadużyciem władzy, wykorzystywaniem jej do własnych celów. Nie oznacza to wszakże, że Łomży nie dotknął „trąd” władzy. Ujawnił się on tutaj w zbytnej lojalności wobec „góry”, bezkrytycznym przyjmowaniu nakazów i zakazów, jednokierunkowym przekazywaniu w „dół”. Tego typu postawę określić należy mianem asekurancji, nie mającego nic wspólnego z centralizmem demokratycznym. Asekuranci muszą więc odejść. Dziś trzeba ludzi, którzy będą rzeczywistymi reprezentantami „partyjnych szeregów” i społeczeństwa. Szkoda, że taka brutalna ocena, pociągająca za sobą personalne reperkusje, dotyczy także ludzi rzeczywiste zasłużonych i rzeczywiste uczciwych. Cóż począć, oceny kształtują się na gorąco i nikt w historii nie sięga.

Wśród wielu zarzutów, jakie stawiano ustępującym władzom partyjnym nie znalazł się, moim zdaniem, zarzut podstawowy — właśnie asekurancja. „Mały słownik Języka Polskiego” wyjaśnia, że jest to „wyrażeń postępowanie mające zabezpieczyć przed ponoszeniem odpowiedzialności za sprawę, której wynik nie jest jeszcze wiadomy”. Interpretować to można także jako brak osobistej odwagi, a idąc dalej — brak poglądów, których chciałoby się bronić. Taki dobór kierownictwa pozwala na swobodne manipulowanie społeczeństwem, ochronia nieudolność, niekompetencje. Oczywiście można dyskutować, na ile funkcjonujący w aparacie partyjnym system źle pojętej dyscypliny stymulował rozwój tych oczekiwań przez „góre” postaw, a na ile były one dobrowolnym przyjęciem określonej, sprawdzonej przez lata, drogi kariery. Jedno jest pewne, że potrzebni byli tylko ludzie akceptujący „wiernopoddaną” lojalność.

Asekuracja to główna przyczyna opieszałości w reagowaniu na społeczne potrzeby i postulaty, bierność i marazm panujące w partyjnych instancjach różnych szczebli. Uzdrowić partię mogą jedynie ludzie nie zarażeni tym bakcyliem, odważni w prezentowaniu nie zawsze popularnych, ale wychodzących z członkowskich mas, sądów i opinii. I to niezależnie od ich krytyki i uprzednio pełnionych funkcji. Ludzie posiadający własne zdanie. Jest to ważne tym bardziej w czasie, kiedy już sama przynależność do partii jest w coraz większym stopniu aktem odwagi.

JERZY BRODZIUK

asekuranci muszą odejść

łami w Poznaniu musiał doprowadzić do gdańskiego grudnia? Dlaczego tow. Gierek, któremu zaufał cały naród, zweeksował na stare tryby manipulacji społeczeństwem? Pytań jest więcej, a jedyny wiarygodny wniosek kryje się może w stwierdzeniu tow. Kaseja, że ekipa, która odchodzi nie przestaje działać, hamuje proces odnowy, usiłując wtłoczyć go w stare tory. Czyż takim przykładem nie jest raport o stanie gospodarki narodowej? Czas więc wyjaśnić zakulisowe działania i to od początku naszej powojennej historii.

WYBORY. Domagano się ich już od września ub. r. Uważano je za podstawowy element odnowy. Przeciwnicy przyspieszenia wyborów argumentowali to m.in. brakiem rozważania stanu gospodarki narodowej, potrzebą stworzenia programu wyjścia z kryzysu. Miałkość tych argumentów dostrzec można dziś. Nadal nie ma raportu ani programów. Termin zjazdu pod naciskiem mas partyjnych wreszcie wyznaczono, ale w sytuacji dramatycznych wręcz konfliktów wewnątrzpartyjnych i ogólnospołecznych oraz głębokiego osłabienia partii.

Czy w obecnej sytuacji wybory odbudują zaufanie do władz partyjnych, uwiarygodnią ich działania? Pod jednym warunkiem — odpowiedziano na zebrań POP i konferencjach — gdy u steru staną nowi ludzie. I sekretarz KZ przy łom-

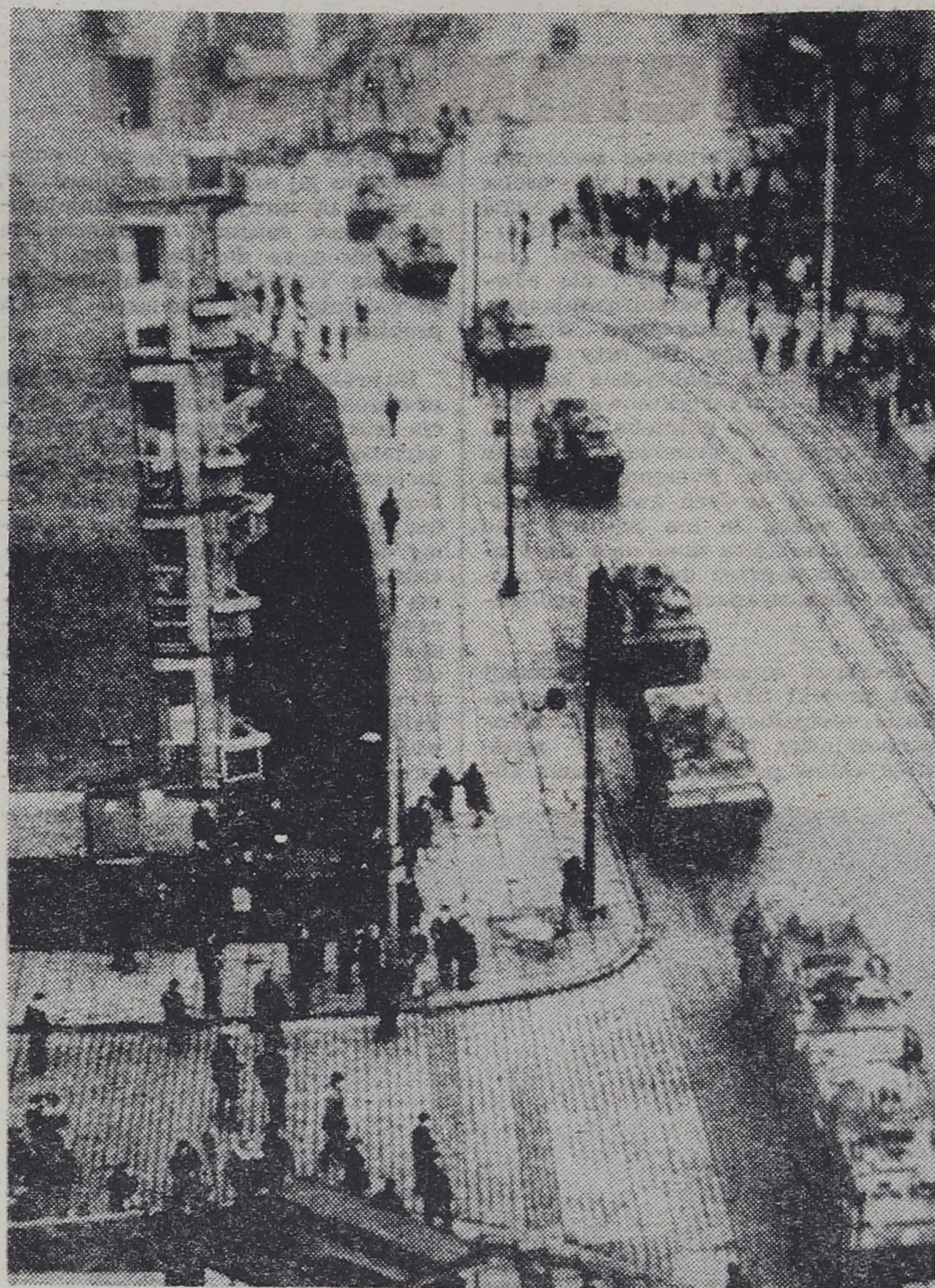
skie zakładowe próbowały wysunąć własne kandydatury na I sekretarzy, ale kandydatów nie znalaziono.

Wyniki wyborów — w tym również na delegatów na konferencję wojewódzką (wśród 271 delegatów, aż 192 to pracownicy umysłowi, tylko 34 robotników i 37 rolników) — to również rezultat postawy oczekiwania ze strony głównie robotników. Przypomnę, że jest to dla mnie niezrozumiałe: brak aktywności przy równoczesnym żądaniu zaspokojenia oczekiwań. Jest to o tyle dziwne, że nawet w „Solidarności”, zakładającej programowo „kontrującą opozycję” zaczyna się rozumieć, że proces odnowy musi być dokonywany przy aktywnym, twórczym udziale całego społeczeństwa.

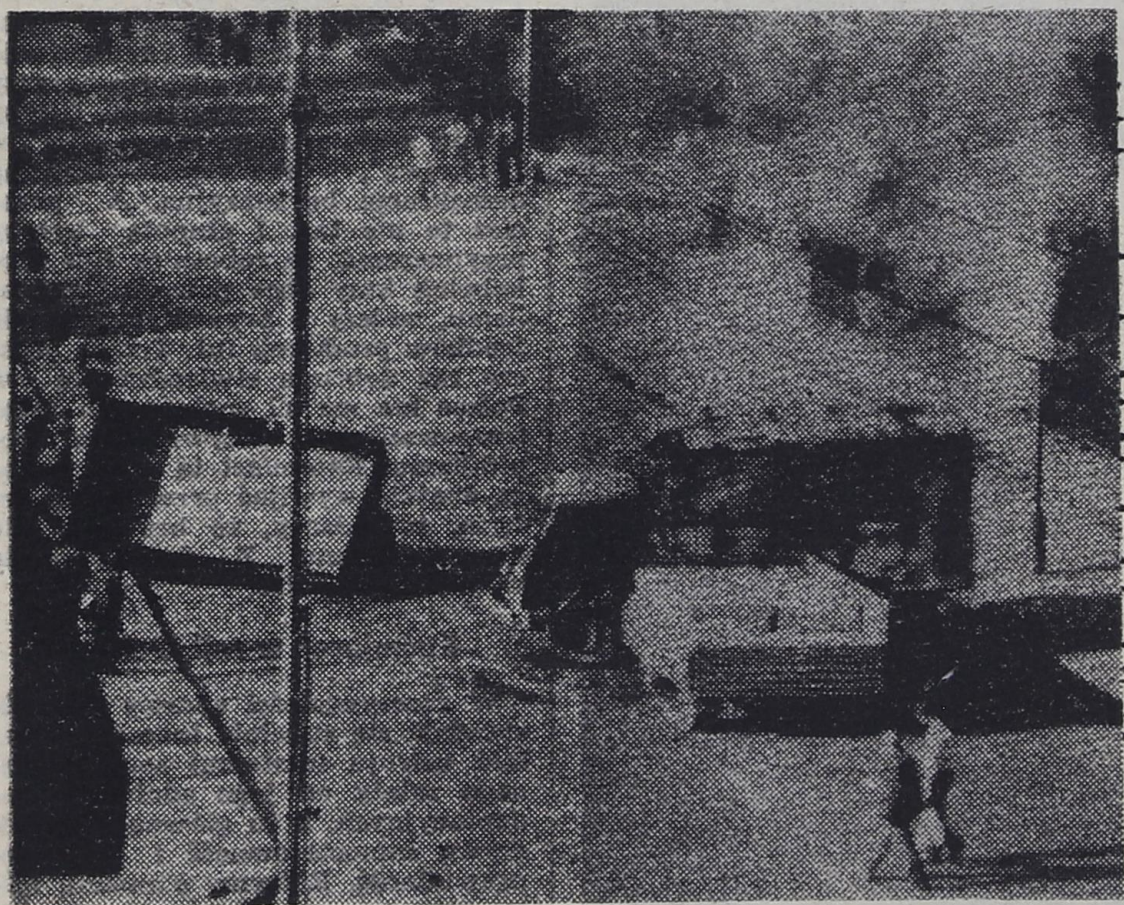
POSŁUSZNI MUSZĄ ODEJŚĆ. Wspomniany już Jan Łukasik z ŁZPB impulsywnie apelując o nie wybieranie towarzyszy, którzy dotychczas pełnili funkcje w aparacie partyjnym zarzucił im, że są odpowiedzialni za wszystkie błędy i wypaczenia. Konkretnie — za opóźnioną budowę szpitala w Łomży, zakładu mleczarskiego w Grajewie, brak przedszkoli, żłobków. „Są odpowiedzialni — stwierdził — bo oderwali się od społeczeństwa”. Argumentacja ta — zbyt schematyczna, nie rozwinięta — nie znalazła zbyt wiele posłuchu na konferencji miejskiej. Zebrany bardziej trafił do przekonania stwierdzenia ko-

dziś dzisiejszy





zdjęcia z wystawy w salonie warszawskiego ZPAF-u zreprodukował
Gabor Lörinczy



polskie zakrety - czerwiec 1976

pułapki demokracji

Ile razy można grać w te same polityczne konie?

Na początku 1971 r. często dyskutowano o gwarancjach, gwałtownie szukając rękami tego, że błędy przeszłości nie powtórzą się. Jerzy Putrament, który już niejedną odnowę przeżył i z każdej wychodził zwycięsko, grzmiał, że nie ma i nie może być żadnych gwarancji strukturalnych, że wystarczy zaufanie mas i wola przemian wszechwładnie panująca (ponoc) „na górze”. Wymanewrowano zwolenników gwarancji systemowo-prawnych nie żadnym „pomoczeniem”, ale lekceważeniem i metodologicznymi sporami wokół zasadności, czy efektywności wysuwanych żądań. Zaczęło się od zdrowego skądinąd sceptycyzmu, skończyło na cichym przyjęciu niezbyt słusznego założenia, że jedynym gwarantem swobód jest fryzura p. Gierka.

względów — gwałtowne sprzeciwy. Nie bez znaczenia jest tu osoba przewodniczącego tej komisji; ongiś jednego z czołowych doradców Gierka — współautora rzetelnego „raportu o stanie oświaty”, ale również człowieka współfirmującego, chyba, fatalne niezyciowe decyzje poprzedniej ekipy. Ile razy można grać z te same „polityczne konie”?

Naturalnie wyartykułowanie poglądu głoszącego potrzebę gwarancji strukturalnych stanowi zaledwie pierwszy krok. Następny to jasna świadomość, że tych gwarancji musi być wiele, że nie powinny one przeczyć sobie, a dopełniać się i uzupełniać poprzez działania na różnych płaszczyznach życia społecznego.

Jedną z sensownych gwarancji jest projekt SD proponujący powołanie specjalnego Trybunału Konstytucyjnego, badającego: a) zgodność aktów prawnych z Ustawą Za-

tucznych swobód. Przeciw pozostawieniu jej przy Radzie Ministrów, a więc za utrzymaniem istniejącego statusu cenzury, przemawiają dotychczasowe doświadczenia. Powołanie Trybunału Konstytucyjnego mogłoby więc rozwiązać i ten problem.

Najważniejszą jednak gwarancją powinna być statutowo silna pozycja wszystkich organów przedstawicielskich. We wszystkich organizacjach. Pięcioprzymiotnikowe wybory, a także uwierzytelnione — instytucjonalnie i zwyczajowo — formy odpowiedzialności przed wyborcami, od dawna stanowią podstawę wszelkiej demokracji. Te „gwarancje” istniały już za czasów Gomułki, Gierka i znacznie wcześniej. Tylko częściowo z winy sformułowań dopuszczających wieloznaczne interpretacje i proceduralne kruczki.

nowanie organów przedstawicielskich muszą się bowiem zatroszczyć sami wyborcy.

Trybunał Konstytucyjny i cenzura

Największym niebezpieczeństwem obecnej „euforii demokratycznej” jest niedostrzeganie tych niebezpieczeństw, o których wiedział już John Stewart Mill. Demokracja to nie ideał ani panaceum na wszystkie choroby społeczne. Demokracja nie wyklucza manewrowania rządzącymi, lekceważenia woli większości, manipulowania. Pułapki demokracji przewidują, że przy dużej absencji, do bezwzględniego zwycięstwa wystarczy mieć za sobą niewiele ponad 25 proc. ogółu uprawnionych do głosowania. W pewnych określonych warunkach może to oznaczać, że 74 proc. rządzących jest przeciw. A „sztuczki” z podziałem na okręgi wyborcze, gdy jednocześnie zachowuje się zasada, że w jednym okręgu może być tylko jeden zwycięzca, natomiast głosy oddane na innych kandydatów przepadają? Demokracja ustala jedynie pewien poziom przyzwolenia, formułuje *consensus* społeczny. Dla rządzących oznacza swoje minimum polityczne. Jest, podobnie jak godziwe minimum socjalne, warunkiem prawidłowego funkcjonowania społeczeństwa. Ale nikt nie poprzestaje na minimum. Niewątpliwie społeczeństwo rządzone demokratycznie jest mniej podatne na wstrząsy niż społeczeństwo zarządzane czy komenderowane.

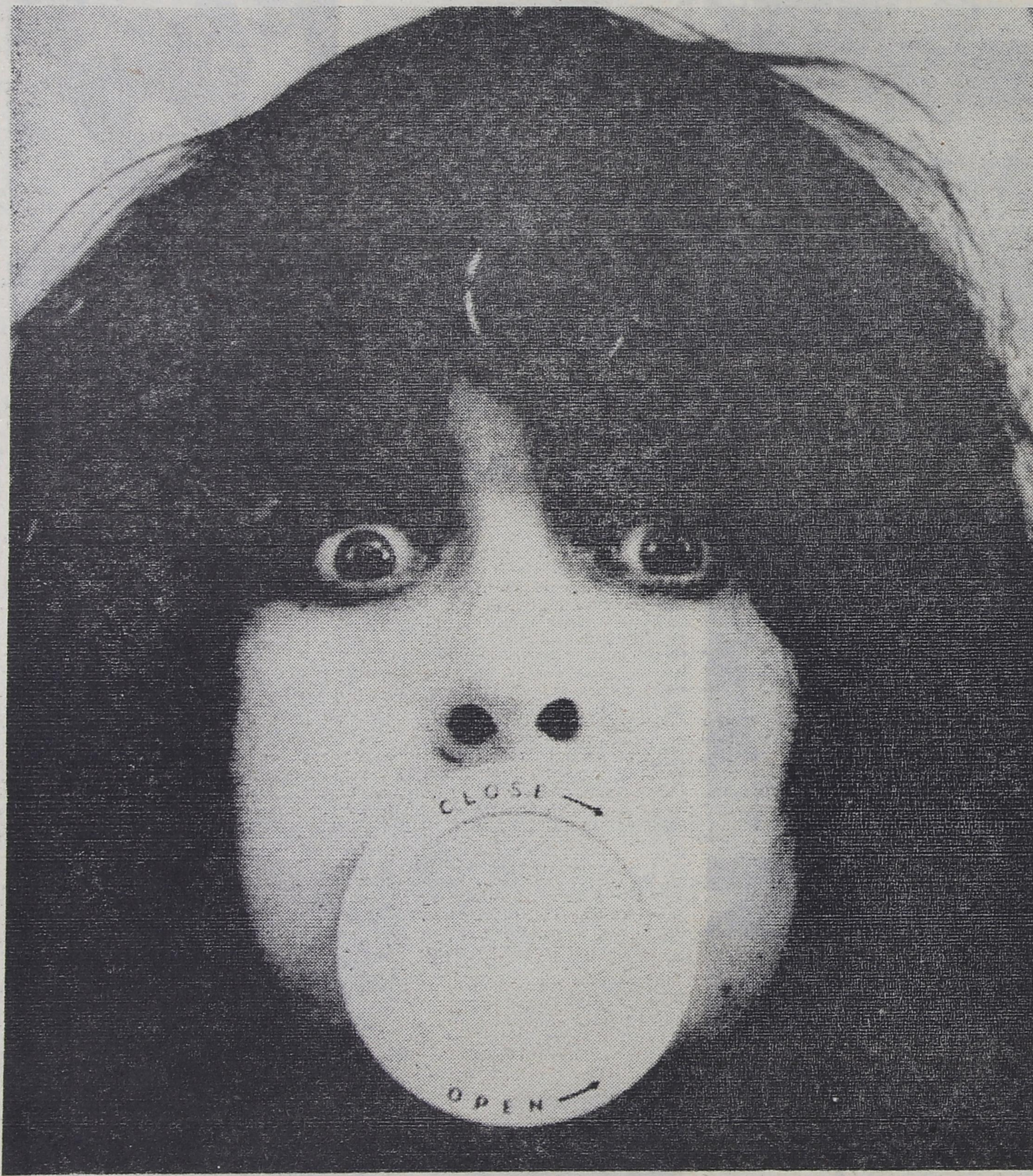
Walcząc o takie minimum polityczne, rządzeni walczą o nowy typ polityka — zdolnego do manipulacji i manewru. W praktyce opowiadają się przeciw rozwiązaniom siłowym czy charakterystycznym. Ale nie przeciw rozwiązaniom manipulatorskim. I to muszą sobie wyraźnie uświadomić. Wszyscy. Rządzący i rządzeni.

W zestawieniu z charyzmatycznym menagerstwem ekipy Gierka, demokracja oznacza wyraźny postęp społeczny, duchowe przejście od oświeczonego absolutyzmu do początków industrializacji. Żyjemy jednak w wieku XX, świadomi współczesnych doświadczeń i buntów. Zatem walce o demokrację musi towarzyszyć i towarzyszyć świadomość jej ograniczeń. Gdyby nie ta świadomość, chodziłoby o „pocziw”, dziewiętnastowieczną demokrację burżuazyjną. A przecież to nie tak. I głupota byłoby przypuszczać, że robotnicy lub ktokolwiek inny chce powrotu kapitalizmu, walczy o prywatną własność środków produkcji itd. Trzeba jeszcze raz dobitnie stwierdzić, że w Polsce nie ma sił społecznych zainteresowanych w przywróceniu kapitalizmu. Natomiast tą groźbą mogą chętnie wywijać przeciwnicy reform, twierdząc, że bez nich nie ma socjalizmu. Z doświadczenia wiemy, że to fałsz.

Kuśmierek w roli Goliata

W rzeczywistości sprawy przedstawiają się zupełnie inaczej: trwałość ustroju (systemu) socjalistycznego zależy od jego zdolności adaptacyjnych, a tu główną rolę odgrywa samostereowność i samoprawialność. Reformy stanowią tylko skromną, cząstkową, konkretyzację tych nadzwyczaj potrzebnych walorów. Mianem sił antysocjalistycznych należałoby raczej określić przeciwników niż zwolenników zmian. Ale ostrożnie z takimi etykietkami! Przeciwnik, z którym trzeba walczyć, to przeciwnik świadomy. Czołówka kierownictwa KPN, jakieś fanatyczne jednostki zupełnie pozbawione wyobraźni społecznej, bo przypuszczające, że powrót do kapitalizmu oznaczałby restaurację ich wysokiej pozycji społecznej, a nie powstanie nowej klasy właścicieli środków produkcji.

W sumie, świadomi, aktywni przeciwnicy socjalizmu, których istnienia nikt przecież nie neguje, stanowią garstkę kilkuset osób. Trudno nawet mówić o kropli w morzu. Stanowczo liczniejsi są „pasywni” przeciwnicy socjalizmu czyli ci, którzy nie chcą reform. Ale i tu trzeba się zastanowić i nie szafować oskarżeniami. Inercja, rutyna, nawyk oraz wszechwładna bezmyślność, to najpotężniejsze siły przeciwstawiające się koniecznym zmianom. Jednakże ich zasięg jest ograniczony do kręgu potencjalnych czy rzeczywistych decydentów różnych szczebli. Stanowi to najwyżej



Taktyka tego manewru była jasna; przesunięcie znaczeń. Najpierw wykazać, że w życiu społecznym nie ma bezwzględnie obowiązujących umów. A ich ośnowę stanowi dobra wola i zaufanie. Później przejść do stwierdzenia, że większość dotychczasowych umów jest podatna na erozję i mało skuteczna. Stąd już krok do propagowania dobrej woli stron, wzajemnego zaufania itd. Dziś ostrzej i głośniejszy się, że tylko reformy strukturalne mogą nas uchronić przed powtarzaniem błędów. Ale sceptycy nieśmiało prezentują swoje racje, propagując woluntaryzm i zaufanie. To pachnie manewrem, rodzi podejrzenia o manipulację. Podobnie jak działalność „komisji prof. Szczepańskiego”.

Sam termin „renegocjacje umów społecznych”, termin przeciwko któremu publicznie zaoponował Profesor wzbudza — ze zrozumiałych

sadniczą, b) polityczną odpowiedzialność osób „na stanowiskach”. Podobna instytucja funkcjonuje dobrze w wielu innych państwach a przecież — jak kiedyś głosi slogan „Polityki” — „powinniśmy się uczyć chociażby od diabła”. Przy Trybunale Konstytucyjnym można by stworzyć dwuinstancyjną Izbę, zajmującą się sprawami wynikającymi z realizacji ustawy o cenzurze. Ten sposób zażegnania sporu między zwolennikami podporządkowania Sejmowi GUKPPiW, a rzecznikami pozostawienia tej instytucji w pionie Urzędu Rady Ministrów wydaje się jak najbardziej zasadny, zwłaszcza, że obie strony mają sensowne argumenty.

Podporządkowanie cenzury Sejmowi oznaczałoby pewną nobilitację tej instytucji, która przecież służy konieczności ograniczania konstytucyjnych swobód.

Te błędy, zresztą, najłatwiej wyeliminować. Najlepsze ustawy nie zagwarantują nam jednak 100 proc. demokracji.

Prawdziwym gwarantem swobód społecznych może być tylko dana zbiorowość egzekwująca wykonywanie swoich własnych postanowień. Ale to nie powinno oznaczać zupełnego lekceważenia szczegółów takich, jak tryb zgłaszania czy ilość kandydatów, albo sposób przeprowadzania wyborów. Jednak nawet obowiązkowe zebrania sprawozdawcze w okresie między wyborami nie zapewnią wyborcom niczego oprócz uczestnictwa w takich zgromadzeniach. Opowiadając się za statutowym obowiązkiem okresowych sprawozdań, nieograniczoną liczbą kandydatów, tajnością wyborów ani przez chwilę nie mam złudzeń, że to wszystko stanowi coś więcej niż szansę. O prawdziwe funkcyj-

kilkaset tysięcy osób. W tej sytuacji mówienie o wrogach ustroju — nawet przy bardzo naciągającym, staliniowskim rozumieniu tego słowa („kto nie z nami, ten przeciwko nam”) nie ma żadnego sensu, a służy okazjonalnym polemikom, polajankom i... samousprawiedliwieniu. Gdzie są więc te siły „antysocjalistyczne”? Kto spalił komisarz MO przy dworcu w Otwocku? Siły antysocjalistyczne? Nasze laickie diabelki? Nie! Chuligani i podchmieleni rozrabiacze, którzy zaatakowali i angielskich „bobies” i belgijskich (kapitalistycznych) policjantów.

Gdy obywatel Mieczysław F. Rakowski nie był jeszcze wicepremierem, a tylko publicystą, w „swoim” tygodniku „Polityka” napisał coś o „siłach antysocjalistycznych”. Prawie same ogólniki. Konkretnie z imienia i nazwiska, bo u nas konkretnie to zaraz musi być z imienia i nazwiska, wymieniał jedynie Józefa Kuśmierzka, zaznaczając, że to były „peperowiec”. Dziennikarzy i felietonistów cieszy taka wysoka pozycja kolegi po piórze, ale ów Kuśmierek w roli Goliata... nie napawa zbyt dużym optymizmem. Ale, dość żartów. Sądzę, że o siłach antysocjalistycznych można dziś rozprawić z lekkością w oku; nie ma co, łatwo je było zwalczać. Trudniej pokonać siły chaosu.

Gdzie są intelektualiści?

Odczuwa się głęboki brak — głębszy nawet niż na podstawowe artykuły spożywcze i przemysłowe — jasných, przemysłowych i przekonywujących programów. Prawdziwy to powód do niepokojów i rzeczywista miara kryzysu. Partia jest pod tym względem w najgorszej sytuacji, gdyż musi rozwiązać jeszcze wiele spraw wewnętrznych, ważących jednak na życiu politycznym kraju. Niestety dyskusji o nich nie można toczyć w nowo-mowie. Takie określenia jak „doby partyjne” powinny być wyrzucone ze słownika partyjnego, gdyż wyrażają zhihierarchizowane, feudalne wręcz widzenie rzeczywistości społecznej. I w dodatku obrażają zwykłych członków partii. Żurnalistyczna „odnowa” też nikogo nie krzepi, gdyż odnowa — to powrót do jakiegoś wyidealizowanego stanu istniejącego dawniej, a tu chodzi o coś diametralnie innego: o stworzenie nowych realizacji i nowych faktów społecznych. Zabrakło również hasel. Poprzedni okres ich nadużywania odpłaca się perfidnie — nie znajduje się hasel chwytliwych, przemawiających do wyobraźni i uczuć ludzi.

Marksista Gramsci stwierdziłby, że ten stan świadczy o słabości intelektualnej organizacji, które nie zdały się jeszcze „dorobić” własnych intelektualistów rozumiejących dążenia mas i zdolnych do racjonalizacji owych dążeń. Jest to prawda, ale tylko w odniesieniu do „Solidarności”, która wciąż pozostaje ruchem na dorobku, mającym wprawdzie własnych ekspertów (często nawet nie członków NSZZ), ale pozbawionym własnych intelektualistów. Partia zaś ich miała. Ekipa gierkowska zdołała przerobić intelektualistów na posłusznych klakierów, sceptycznych kpiarzy bądź rozczarowanych frustratów. Za to nikt nie będzie połączony do żadnej odpowiedzialności, chociaż trudno o bolesniejszy cios, o bardziej szkodliwie działające.

Japońcami to my już jesteśmy

Aby uniknąć nieporozumień chcę stwierdzić, że za właściwe hasło nie uważam dzisiejszej retoryki o stworzeniu drugiej Japonii. Te propozycje warszawska „ulica” potraktowała zresztą jako świetny materiał do nowych kawałów. W jednej usłyszałem taki oto monolog: „Japońcami to my już jesteśmy. O czy nam zeskosił od tego wypatrywania czy coś przywieźli”. W innej zagadkę: „Dlaczego Japonia nie może zostać drugą Polską? Bo ma za dużo ryżu i za mało kartek”. Naiwnością byłoby przypuszczać, że ów brak programów i hasel wynika tylko ze słabości intelektualnej, z niedostatku dobrych pomysłów.

Obie organizacje poddały swoje projekty pod publiczną dyskusję. Liczą na poprawki i pomysły, na to, że „milcząca większość” uzupełni te projekty i powstaną Programy. Mądre, powszechnie akceptowane, imponujące zwycięstwa. Niestety obu prawie identycznych

działań nie można ze sobą porównywać. „Solidarność” po raz pierwszy opublikowała swój szkic programu. Partia postępowała tak od dawna. Prawie przed każdym Zjazdem odbywała się ogólnonarodowa dyskusja nad tematami zjazdowymi. W moim odczuciu dyskusje takie nie służyły prawie nigdy polepszeniu „tez”, ani rozwojowi ogólnonarodowej cnoty gadulstwa, tylko orientacji w poziomie przyzwolenia społecznego, nastrojów i opinii. Niezależnie od składanych deklaracji, ich rzeczywistym celem był *consensus*. Dlatego zgłoszonych często bardzo wartościowych, pomysłów nie realizowano; nawet wtedy, jeśli ich realizacja nie nastroczała kłopotów.

Przykładowo: jesienią 1971 r. Gierrek zwrócił się pismem odrębnym do tysięcy, głównie partyjnych intelektualistów, prosząc ich o przedstawienie pomysłów zmian. Dobrych i wielkich. Ciekawe jak wyglądałoby dzisiaj, gdyby chociaż połowę zgłoszonych pomysłów zrealizowano. W tej „ankiecie” nie zabrakło — o ile mi wiadomo — i sensownych uwag co do likwidowania ukrytego bezrobocia, ograniczenia władzy aparatu partyjnego i administracyjnego, zminimalizowania negatywnych skutków szalejącej biurokracji, zlikwidowania plag: pijanstwa. Uczestnicy otrzymali odrębną podziękowania Pierwszego i... na tym sprawę zakończono. Jakże często dziś wyważamy otwarte drzwi!

Kto hamuje zmiany?

Od dziesięcioleci narzekamy na biurokrację. Redukujemy wciąż aparat administracyjny, aby po latach stwierdzić, że urzędników jest więcej niż dawniej, a pozornej pracy wciąż przybywa. A czy kiedykolwiek próbowano zainteresować tą sprawą samych urzędników, jak wiadomo na ogół nędznie opłacanych i zakompleksionych? Ilez to razy „zamrażano” etaty w administracji? Niestety, ta lodówka nie działała, bo zabrakło następnego kroku: likwidowania etatów po ludziach odchodzących (emerytury, zgony, przeniesienia) i nowego podziału czynności i obowiązków. Gdyby takim postępowaniem towarzyszył wzrost pensji urzędniczych, uzależniony od globalnej wartości etatów zlikwidowanych w konkretnej instytucji, za kilkanaście lat mołoch biurokracji byłby powalony, urzędnicy bardziej normalni i odpowiedzialni.

W potocznym znaczeniu tego słowa „biurokracja”, to przede wszystkim źle funkcjonujące, dokuczliwe dla obywatela, irracjonalne urzędy. I tu można usprawnić ich działanie poprzez prosty zabieg: każdy z urzędników obok ustawowego „zakresu czynności” powinien mieć „zakres podejmowanych decyzji”, wywieszony nad każdym okienkiem, biurkiem etc.; wszędzie, gdzie załatwia się interesantów spoza danej instytucji. Oszczędzi to ludziom chodzenia od Annasza do Kaifasza, ułatwi walkę z pozorami pracy. Sprawa nie wymaga żadnych nakładów finansowych i ułatwia życie.

Projekt ten był zgłoszony już w 1971 r. Nie doczekał się żadnej wzmianki, nie mówiąc o realizacji. A może godzi on w interesy socjalizmu? Tak. Ale pod warunkiem, że przez „socjalizm” będziemy rozumieć wzrost liczebności urzędników, połączony z niejasnymi kompetencjami aparatu administracyjnego i brakiem odpowiedzialności.

Mroź, a wciąż ciepło

Tyle u nas się pisze o potrzebie ograniczenia wszechwładzy aparatu, o zmianach w partii. Przedstawiane propozycje grzeszą połowicznością, są nielegalne i często nie-realne. Ustalmy rzecz precyzyjnie. Bez dyskusyjną sprawą jest pełna władza instancji przedstawicielskich wybieranych w tajnych demokratycznych wyborach. Ale już ograniczenie ilości członków tych instancji, czasu trwania kadencji, czy ilości kadencji (do dwóch, jak obecnie proponuje) to złudzenia demokracji, które w praktyce mogą okazać się szkodliwe dla samej Partii. W wielu organizacjach brak kandydatów do egzekutywy. Dlaczego więc ograniczać ilość członków egzekutywy? Jeśli sekretarz działa znakomicie przez dwie ka-

dencje, dlaczego ma nie kandydować po raz trzeci? W imię arbitralnej zasady, że do dwóch razy sztuka? Nie ograniczenie liczby kadencji, ale sposób wyboru, działanie i kontrola wyborców powinny tu decydować. Władza kontrolowana, odpowiedzialna przed wyborcami, zobowiązana do przedstawiania swej pracy, oceniana przez elektorat, nigdy nie zdegeneruje się. System dwukadencyjny jest pomysłem zastępczym. Niczego nie gwarantuje. Nawet przez jedną kadencję można narobić tyle szkód, że trzeba je będzie odrabiać przez dziesiątki lat.

Zostawmy funkcjonowanie instytucji wybieralnych (Sejmu, KC) poczuciu odpowiedzialności wyborców i wybranych, zagwarantujmy jedynie taką procedurę wyborów, aby wyłonione ich drogą władze były rzeczywistym przedstawicielstwem. W tej dziedzinie niczego mądrego nie wymyślimy. Zdecydowanych reform wymaga aparat wykonawczy. Może nie tylko partyjny. Tu trzeba zrezygnować z różnego rodzaju „kluczy” (i wytrychów). Jedynym „kluczem” powinny być stosowne kwalifikacje. Oczywiście — rotacja. Ale mądra i bezpardonowa. Siegnijmy do doświadczeń fińskiej socjaldemokracji. Po 3-4 latach dobrej pracy w „centrali” spada się na sam dół. I przez 3-4 lata pracuje w gminie. Następnie awans do stolicy prowincji (u nas województwa) i znów do centrali. Warunkiem przejścia do każdego etapu jest, oczywiście, wzorowa praca. Wyjątków nie ma. Ani „nauka” dziecka, ani chora teściowa nie mogą odwieść nawet o dzień przejścia do innej pracy. Mieszkanie służbowe rotacyjne, pobory — takie same. System ten ma sporo zalet. Nie służy bowiem jedynie ograniczeniu przywilejów czy władzy. Dzięki niemu działacze szczebla centralnego wiedzą, co dzieje się „na dole”, a działacze „gminni” potrafią często coś załatwić z pominięciem szczebla środkowego.

Znają przecież dobrze mechanizmy funkcjonowania centrali. Układ jest przejrzysty dla wszystkich uczestników. Zindywidualizowany termin rozpoczęcia i końca poszczególnych „kadencji” ułatwia realizację. Pamiętajmy: ruch od góry w dół. Zawalenie pracy na jakimś szczeblu, „nie sprawdzenie się” oznacza wypadnięcie z systemu. Sądzę, że u nas system ten można by również zastosować w administracji i w zarządzaniu gospodarką. Jego niedogodności, to początkowe zablokowanie możliwości „kariery”. Aparat centralny jest bowiem mniej liczny. Ale i tu istnieje naturalny ruch, zwalniają się etaty, które można by wykorzystywać do stworzenia drogi awansu. W sumie powstałby system obligatoryjny dla aparatu centralnego, osiągalny dla ambitnych i zdolnych działaczy innych szczebli.

System bardzo przejrzysty, pracujący nie tylko w celu ograniczenia władzy aparatu, lecz również zwiększenia skuteczności jego działania.

Polacy to nie mrówki faraona

Hasłem i programem wszystkich sił społecznych powinno być przywrócenie naturalnego obiegu wartości. W ekonomice, w kulturze, w polityce. Innego wyjścia nie ma. Wówczas negatywny *consensus* poprzednich okresów zostanie zastąpiony przez pozytywny *consensus* realnych sił społecznych, chwiejna równowaga — przez stabilny samoregulujący się układ.

Negatywy obecnego położenia: ukryte bezrobocie, zły układ cen muszą stać się punktem wyjściowym decyzji ustalających priorytety. Duży popyt na samochody, meble, mieszkania, telefony powinien zdecydować o rozwijaniu tych właśnie dziedzin. Popyt na żywność czy środki piorące nie jest tak trwały. Polacy nie mają żołądków z gumy, ani nie są mrówkami faraona, żeby zjadać prosek do prania. Podstawowe potrzeby biologiczne muszą zostać zaspokojone. Ale na tym nie można opierać programu rozwoju gospodarki.

Trwały, silny, niezaspokojony popyt, to przecież potencjalny rynek wewnętrzny, na zaspokojenie którego trzeba pracować przebudowując gospodarkę tak, aby stała się normalnym systemem reagującym na prawo popytu i podaży.

ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI
Fot. JÓZEF LIEBERSBACH

W 15 numerze „Kontaktów” z dnia 19 IV br. w rubryce „Śpięcia” ukazała się notatka o „dzieciach Szkoły Nr 5 w Łomży, które pozbawione są szatni, na skutek zajęcia jej na strzelnicę”. Autorzy notatki celowo, bądź też nieświadomie stawiają pod znakiem zapytania intencje inicjatorów sportu strzeleckiego. Przeto, gwoździ ścisłości, inicjatorzy posługują się faktami, mając na uwadze obowiązujący obecnie wymóg społeczny, że każda wzmianka zawarta w prasie winna być oparta na prawdzie i podana w odpowiednim czasie.

W 1977 r. dyrekcja Szkoły Nr 5 w Łomży za wiedzą Kuratorium udostępniła pusto stojące, niewykorzystane pomieszczenia po byłej kotłowni na strzelnicę pneumatyczną dla Sekcji Strzelectwa Sportowego Międzyzakładowego Łomżyńskiego Klubu Sportowego „Start”. Zakład patronacki Sekcji (KW MO w Łomży), dokonał na własny koszt (70 tysięcy złotych) remontu pomieszczeń, zmieniając pomieszczenie kotłowni na lokal użyteczności publicznej. W ciągu minionych 3 lat zawodnicy sekcji (młodzież ze wszystkich szkół łomżyńskich) odbywali tu treningi i zawody. Ogółem przez sekcję strzelecką przewinęło się ponad 300 dziewcząt i chłopców, którzy zapoczątkowali rozwój sportu strzeleckiego na terenie województwa, wpisując się wielokrotnie na czołowe lokaty w zawodach ogólnopolskich.

Dyrekcja szkoły z chwilą zaistnienia trudności lokalowych wystąpiła pismem do Zarządu Klubu z żądaniem likwidacji strzelnicy do dnia nica została zlikwidowana, a lokal 2 IV 1981 r. W dniu 30 III br. strzel- przekazany dyrektorowi szkoły nr 5. Z niniejszego wyjaśnienia wynika, że autorzy spóźnionej notatki zarówno co do treści, jak i swej propozycji — mówiąc językiem strzeleckim — „trafili kulą w płot”. Czyżby motywem była chęć wywołania tą notatką jeszcze jednego społecznego „spięcia”?

mgr WALDEMAR DĄBROWSKI
Wiceprezes ds. sportowych

*

Jesteśmy głęboko oburzeni treścią reportażu Wiesława Janickiego i Tomasza Piotrowskiego „Zemsta za rów graniczny”, zamieszczonych w tygodniku PZPR — „Kontakty” z dnia 1 III br. Dlaczego panowie podajecie w prasie niesprawdzone dane dotyczące naszej pracy i jednocześnie niesprawiedliwie nas oskarżając? Stanisław Grodzki nie był bowiem dyscyplinarnie zwolniony z pracy w mleczarni. Miał krowy, więc mleko sprzedawał (co miał z nim robić?) i brał za nie pieniądze, tak jak każdy dostawca. Teraz żaden z nas nie myślał o pracy w mleczarni. Podobnie — Edwin Grodzki nie został zwolniony dyscyplinarnie z pracy w PKS. Nikt nie przypisał go „raz, drugi, no i zwolnili”. Dlatego też żądamy wyjaśnienia tej sprawy i odwołania kłamliwych informacji.

STANISŁAW I EDWIN GRODZCY
Kossaki Nadbielne

W odpowiedzi na zarzuty stawiane nam przez zainteresowanych, po opublikowaniu przez nas reportażu „Zemsta za rów graniczny”, wyjaśniamy co następuje:

1. Reportaż jest przepisany z taśm radiowej audycji, która została nadana w programie lokalnym Rozgłośni Polskiego Radia w Białymstoku.

2. W trakcie naszego wielogodzinnego pobytu we wsi Kossaki Nadbielne udostępniliśmy mikrofon wszystkim zainteresowanym stronom.

3. Nagrany materiał został poddany montażowej i niezbędnej redakcyjnej obróbce. Nie zmieniło to jednak w najmniejszym stopniu sensu ludzkich wypowiedzi.

4. W reportażu nie ma ani słowa od autorskiego komentarza. Za prawdziwość mieszkańców wsi trudno jest nam odpowiadać.

WIEŚLAW JANICKI
TOMASZ PIOTROWSKI





DOKONCZENIE ZE STR. 1

"Ten młody lekarz po objęciu pracy ruszył na bój z niewłaściwymi stosunkami w koleżeńkiej służbie zdrowia". Tak pisał o Minkiewiczu, w 1955 roku, w pierwszomajowym numerze tygodnika „Po prostu”, Zdzisław Grzelak. I jeszcze: „Wymiatł stąd obmowę, wzajemną niechęć, kopanie pod sobą dołków, osobiste porachunki, klikki, zaniedbanie pracy, niewiarygodne lekceważenie pacjentów. Szczuły, szkolony przed władzami województwa nie upadł”.

Naprzeciwko mnie siedzi szczupły, opalony bohater reportażu Grzelaka. Tylko siwe włosy zdradzają nie pierwszą młodość mego rozmówcy. Pokój stółowy gospodarza przypomina salon Desy. Bogato rzeźbiony kredens Potockich, ociany i chłopskiej drewni, kunsztownie wykonane krzesła, okazała kolekcja samowarów tuskich oraz moździerzy. Na parapetach szklane naczynia o smukłych kształtach i delikatnych barwach. Niecodzienna to sceneria jak na wspominki o latach „biedów i wypaczeń”, o październikowym przełomie. Eliaż Minkiewicz jednak doskonale przedzierzga się w tamtego, kolneńskiego Eliaża z lat pięćdziesiątych.

— W 1954 roku skończyłem studia i dostałem nakaz pracy. W Białymstoku namówili mnie na Kolno.

„18.01.1955. Godzina 20. Jestem w Kolnie, małe miasteczko, w rynku białe kamieniczki, całość wyjęta jakby żywcem z »Madame Bovary« [...] Moze tu, wśród tych niskich domków i prostych ulic, przyjdzie mi spędzić resztę życia? Bałem się, bałem się nieznanego”.

— Zwalono na mnie furę obowiązków — podejmuje wątek z pamiętnika Minkiewicz — miałem być jednocześnie i kierownikiem pogotowia ratunkowego, i kierownikiem kolumny sanitarnej oraz poradni „D” i „K”. A na dokładkę lekarzem zębka powiatowego. Żeby sprostać, tyrałem od ósmej rano do ósmej wieczór. Było w tym coś z romantyki wielkiej przygody. A propos tego „Pamiętnika”. Nie wiedziałem wówczas, że się ukazał. Ktoś z Komitetu Powiatowego skonfiskował z kiosku wszystkie egzemplarze „Po prostu”. Chyba dlatego, że źle napisałem o kierowniku wydziału zdrowia, Bronnerze. Jak się później okazało, miał fałszywe papiery felcerskie.

Młodzi ludzie z ZMP, których los zetknął na tym „zaporożu Mazowsza” tracili dość szybko organizacyjne prysze. Rzeczywistość odbiegała co nieco od pierwszomajowych pochodów i wzniosłych deklaracji na ZMP-owskich mityngach. Te zetempowska przeszłość Eliaż Minkiewicz czule rozpamiętuje.

Na defiladzie pierwszomajowej w 1952 roku ich grupa dostała duże brawa za makieta samolotu z bombą: „Bombie bakteriologiczne mówimy NIE”.

— Robiliśmy to spontanicznie, nikt nam nie nakazywał — zapewnia Minkiewicz.

Na Ziocle Młodzieży Polski Ludowej we Wrocławiu, w lipcu 1948 roku Eliaż Minkiewicz — z kartą uczestnictwa nr 035040 — przewodniczył grupie białostockiej. W pochodzie idzie w szczytnej, pierwszej dwunastce. Splendor to nie lada, zwłaszcza, że na trybunie stali Bierut i Rola-Zymierski.

— Rok wcześniej, w 47-ym byłem członkiem ZMW. Nie przeszkadzało to by w czerwonym krawacie uczestniczyć w procesji — pokazuje zrobione wówczas zdjęcie — wtedy jeszcze się to wszystko rymowało.

Student medycyny należał również do klubu korespondentów „Po prostu”. Tygodnik był wtedy bardziej broszurą niż pismem, a korespondenci stali na straży moralności studentów. Pietnowali każdy objaw wpływów zgniełego zachodu.

— Wytłakaliśmy nawet po nazwisku, jak ktoś grał w pokera — wyznaje Minkiewicz.

Z czasem rozterki typu: „Co ma zrobić członek partii z legitymacją partyjną, gdy jest na plaży i chce się wykapać?” ustąpiły poważniejszym wątpliwościom. Coraz częściej miewali je młodzi redaktorzy „Po prostu”. W jakim stopniu udzielały się one także korespondentowi pisma. „11 II 55 małe jednoizbowe chatki z klepskiem zamiast podłogi. Ludzie zahukani robotą, przytłoczeni ciemnotą Nieufni i zaboborni [...] Smutne, ale chłopcy kurpiowscy bardziej wierzą znachorom i »babkom« niż lekarzom. Chory na gruźlicę leczyl się kropelkami unikając lekarza. Niedługo po tym zmarł”.

Przed młodym lekarzem pojawił się dylemat, do którego nie wiedział jak podejść: po klasowemu czy po prostu.

„29 I 55. Nawilżujemy kontakt z masami Kolna i dlatego poszliśmy z Wackiem na zabawę. Po zabawie kierownik wydziału zdrowia zawiadomił Białystok, że lekarze piją wódkę szklankami. Notabene kieliszków w buficie nie było, to czym mieliśmy pić? Nie wiem teraz, czy lekarzowi wolno pić wódkę, czy nie?”

Niewiele wybrało walkę. Prawie wszyscy przycichli, spokornieli, przywykli przystosowali się zrażeni pierwszymi niepowodzeniami. W konsekwencji czują się zawiedzeni, nieszczęśliwi [...]. Z uczelni wychodzą często jeszcze nie bolszewicy, nie burzyciele starego [...], a łagodni, pragnący spokojnego życia wykonawcy” („Po prostu” nr 18/55).

— To nas ruszyło. Siedzieliśmy przy brydżu. Ja, Jadzia Biały — nauczycielka wuefu, Zdzisław Chmielewski — prokurator, Jurek Rutkowski — lekarz weterynarii. W moim mieszkaniu, bo miałem największe, dwupokojowe. Gadaliśmy o tym i owym, aż wygadaliśmy Klub Młodej Inteligencji. Byliśmy jedni z pierwszych w Polsce. To stało się na początku lata 55 roku. Już przedtem przy brydżu dyskutowało się o polityce, o czerwonej burżuazji. Jak była akcja zdejmowania krzyży, wszyscy pozejmowali, tylko w szpitalu pozostawał.

Jestem niewierzący, ale tolerancyjny. Mój pradziad, powstaniec styczniowy, wywieziony na Syberię, ma na kapliczce dwa krzyże: prawosławny i katolicki. Taka mieszanina wiar w rodzinie nauczyła mnie otwartości na odmienne poglądy.

I tak oto Eliaż Minkiewicz wraz z innymi „przybłędami” — jak ich ochrzciła miejscowa władza — rozpoczął pierwszą w powojennej historii Kolna odnowę.

Eliaż Lasota, ówczesny redaktor naczelny „Po prostu”, wedle relacji Minkiewicza, miał odwiedzić ich klub w Kolnie. Pytałam Lasotę na tę okoliczność, ale stwierdził, że miał w tym czasie spotkanie z tyłoma klubami, że mu się to wszystko pomieszało.

— Oni wyrastali ponad otoczeniem — przekazuje natomiast Lasota opinię o ludziach, którzy zakładali kluby młodej inteligencji. — Asymilacja w prowincjonalnym otoczeniu była bardzo trudna. Sami byli rozproszeni i nie stanowili podpory dla siebie. W pewnym momencie te kluby, jako system organizacji, stały się potężną siłą społeczną. Nagle młodzi ludzie odkryli, że są razem. Do tej pory obowiązywały więzi pionowe: góra — dół. Kluby były pierwotnym dzisiejszych porozumień poziomym.

Na zebrania „przybłędów” zaczęli przychodzić mieszkańcy Kolna. Początkowo spotkania klubowiczów były przypadkowe, później opracowano plan zajęć. Zbierali się w świetlicy ośrodka szkolenia partyjnego. Raz ktoś przyniósł sztukę pisarza rosyjskiego, inną od tych, którymi ich kar-

miono. Postanowili ją wystawić. Kilka razy zawiązała do nich towarzyszą II sekretarz Komitetu Powiatowego, ale jak zaczęli mówić nie „po linii”, wycofała się. Za to oficerowie SB i MO nie zrażali się. Siadali grzecznie w rogu sali i w milczeniu słuchali. Milicjanci byli neutralni, gdyż ich żony pracowały przeważnie w służbie zdrowia. Dzięki temu Minkiewicz zawsze wiedział, czy coś się na nich szykuje.

Nadszedł październik 1956 roku. Wiece z udziałem Lechosława Goździka ściągały tysiące ludzi. Miał swój wiec i Eliaż Minkiewicz — kolneński Goździk.

— Przyszło wówczas pięćset osób. A Kolno liczyło wtedy 3 tysiące dusz. Poruszyłem wówczas sprawę niszczenia kleru i odciągania ludzi od religii sztuczkami. Zawsze przed Świętami kościelnymi wywożono młodzież na zabawy do Koźla. Zażądałem też przekazania ośrodka partyjnego na przychodnię. Sala była za mną — władze kontra. Wówczas ludzie przez aklamacje wybrali mnie na radnego, żebym bronił ich interesów. Od tamtej pory chciano nas wykurzyć. Gdy chcieliśmy zrobić spotkanie Klubu, to niespodziewanie ginęły klucze. Ale już wtedy istniał prężny Klub w Łomży, to dojeżdżaliśmy do nich.

— Wydarzenie, którym najżywiej zapisał się Eliaż Minkiewicz w pamięci starszego pokolenia Kolnian, było złożenie przez niego wniosku 1957 roku, legitymacji partyjnej.

— Polecono wówczas Komitetowi Powiatowemu zorganizowanie otwartego zebrania wyborczego. Przyjechał towarzysz z województwa. Po formalnościach zaczęli przemawiać. Leciły slogany. Gdy skończyli swoje różnice, poprosiłem o głos. Sala zaczęła bić brawo, a prowadzący zebranie nie zgodził się na zabranie głosu. Podeszedłem wówczas do czerwonego pulpitu i położyłem legitymację partyjną. Wszyscy zaniemówili. W tej ciszy zażądałem przyjazdu Komisji Kontroli Partyjnej z województwa. Przestałem wierzyć Gomułce. Za dużo obiecywał. Brał ludzi na żywioł, krzychał: „Ludu Warszawy”. Żółte firanki znikły, a pojawiły się różowe.

Kontrola Partyjna nie przyjeżdżała i moja legitymacja zżółkła u I sekretarza.

Odwił zaczęła ustępować przymrokom. Lechosław Goździk pewnego dnia opuścił Warszawę, by już nie powrócić. Również Eliaż Minkiewicz szykował się do odwrotu. Z klubu wycofali się ci, którym zależało na posadach. W październiku 1957 roku tygodnik „Po prostu” — przewodnik młodej inteligencji — zostaje przez Gomułkę rozwiązany. Nowy odcinek „Pamiętnika młodego lekarza” już nie dotarł do redakcji.

— Jeszcze przed wyjazdem zdążyłem jako radny załatwić przekazanie budynków w Turzli, Lemanie, Stawiskach i Małym Płocku na rzecz służby zdrowia. W 1958 roku nasłano na mnie prokuraturę. Sledztwo upadło, ale to był sygnał, że trzeba zwinąć chorągiewkę. Jeszcze w tym samym roku wyjechałem.



„24 II 55. Marzyłem o przyszłości. Za dwadzieścia lat będę starym człowiekiem, a moja córka już dorosłą kobietą. Powiat Kolno będzie miał w każdej gminie ośrodek zdrowia, izbę kolejową, koleje, drogi, szpital, a może i klinikę. Co robić, aby było to już jutro. Pracować. Potem marzenia zmieszają się ze snem”.

Niektóre z tych marzeń sennych Minkiewicza ziściły się.

★

Eliasz Minkiewicz mieszka obecnie w Międzyrzeczu Podlaskim. Jest członkiem „Solidarności” i partii. Nadal działa. A pozostali klubowicze? Zdzisław Chmielewski pracuje w Białymstoku. Jest prokuratorem. Jadwiga Białą wyszła za mąż i wyjechała do Pisu. Jerzy Rutkowski pracuje w Stawiskach jako lekarz weterynarii. W Kolnie pozostał tylko doktor Kłębek, który później doszłusował do grupy Minkiewicza.

— Eliasz robił to samo, co teraz „Solidarność” — mówi, gdy pytam o Minkiewicza.

— Nie ma co ich gloryfikować — odbrazowia sławę „pryszczatych odnowicieli”, starszy pan, prosząc o niepodawanie nazwiska: — To byli lekkomyślni ludzie. Minkiewicz? Trochę rozrabiaka, trochę dziwak. On nie leczył ludzi, to był urzędnik. Zbierali się w klubie i popijali. Minkiewicz robił zarzuty pierwszemu sekretarzowi Kozłowi, a on Bogu ducha winny. Kozioł był uczciwym stalinowcem. Wymagał pracy, poglądy go nie obchodziły. Proszę mi powiedzieć: w Kolnie nie się podczas października nie działo. W Polsce były rozruchy, to i on chciał zrobić rozruch. Polecał i złożył legitymację.

W innych realiach, zmienionych dekoracjach robi swoją odnowę. Anno Domini 1981, obecna młoda intelli-

gencja Kolna. Dekoracje rzeczywiście się zmieniły. Kolno z nowoczesnym szpitalem, domem kultury, dużą salą kinową, nowym liceum, obiektami handlowo-usługowymi, stadionem sportowym — jakiego Łomża może pozazdrościć — wyasfaltowanymi drogami itp., jak ułał pasuje do obrazka z okresu propagandy sukcesu. Lecz do dzisiaj nie straciła na aktualności opinia Grzelaka o życiu miasta i jego mieszkańcach:

„Życie kulturalne i ideowo-polityczne sączy się wąskimi strużkami od Akademii do Akademii [...] Szerzy się wzajemna niechęć, koterie, osobiste porachunki. Wszech w powietrzu plotki i ploteczki, obmowy i zawiści, jakieś podskórne, wykrzywione życie społeczne: kto, kiedy, z kim, gdzie i dlaczego” („Po prostu” nr 18/55).

Kolno trwa dzisiaj jeszcze w epoce VII Zjazdu PZPR. Świadczą o tym napisy: że szczęście, że partia przewodzi, wytycza, że naprzód itp.

— Odnowa dotarła do władz na papierze. — Mówi Stanisław Szymanowski, młody nauczyciel matematyki, wiceprzewodniczący MKZ NSZZ „Solidarność” w Kolnie.

Strzępki plakatów na których zachowały się nieliczne wyrazy: „...szy zło zabiera się ...oważnie do jego ...alczenia. Lenin”.

— Pozwalają domniemywać, że i przez Kolno przechodził Sierpień.

Po południu życie w mieście wymiera. Na ławkach drzemią kobiety. Jedna z nich wstaje i zastyga oparta o framugę okna, z oczami niewidzącymi, jak w końcówce sceny „Wesela” Wyspiańskiego. Za budynkiem liceum koń skubie bujną trawę. Ciszę przetrnie czasami ryk motocykla. W restauracji „Młła” pijany baryton rzewnie zawodzi: „Nie szumie wierzby namm...” Po chwili dołącza ją pozostali „partyżanci” i bezładna

kakafonia wylewa się przez drzwi na ulicę. W opustoszałym domu kultury rozkrzyżowane głośniki stwarzają pozór bycia. Od czasu do czasu, przemijające po mieście radiowozy MO zdają się czuć, by nikt nie zakłócił spokoju.

Moje wrażenie potwierdza Grażyna Kowalewska, bibliotekarka: — Jest pewien zastój. Niedawno „Kontakty” zorganizowały „Bez Pardonu”. Miejsce dowoli, a przyszło mało ludzi, prawie sami dyrektorzy. Wygląda, że robotnicy są zadowoleni z tego miasta.

— Cieniuśko tu jest — mówi młody lekarz Krzysztof Dach, od niedawna w Kolnie: — Środowisko lekarskie jest zasiedzone, hermetyczne. Ja ich nie bardzo rozumiem. Ci, którzy powinni działać, nie działają, pełno zaniedbanej gruźlicy, prawie wszystkie dzieci mają zespół pokrzywicy. Potrzebna jest praca od podstaw. Pierwszy raz w życiu tu własnie zobaczyłem kołtun na głowie dziecka. Matka nie pozwala ścierać włosów twierdząc, że dziecko umrze.

Środowisko nauczycielskie jest też zasklepione — stwierdza Stanisław Szymanowski. — Jak przyjdzie nowy nauczyciel pełen zapału, szybko go usadzają. Tutaj działają mechanizmy rozdrabniające młodego człowieka na proszek. Wierzę jednak, że coś zdziałamy. Środowisko nauczycielskie przeszło lekki wstrząs, za lekki. Doszło do buntu nauczycieli przeciw ZNP. Oznak odnowy jest coraz więcej, no chociażby skróciły się wszystkie drogi do kościoła. Przed Sierpniem władza jeździła samochodami do innej parafii, średni szczebel przemyskał się opłotkami. I tylko ludźk podążał prosto

ADAM JERZY SOCHA
FOT. GABOR LÖRINCZY



spiecia



9

KONTAKTY
21 VI 1981

„Ach, zobaczyć Łomżę i umrzeć” — mówił mi kiedyś miejscowy patriota, który cieszył się dobrym zdrowiem. Tak, tylko umrzeć, bo chorować tu nie sposób. Jakiś kawalarz wymyślił usytuowanie przychodni na pierwszym piętrze Wojewódzkiego Szpitala. Komu się poszczęściło i złamał górną kończynę lub zebro — jakoś się dowlecze. Gorzej tym, którym los pokruszył nogi! Można boki zrywać patrząc, jak się mocują z poręczą, podskokami zdobywają stopnie i staczają się na pozycję wyjściową. Kiedy już się doturlają do chirurga, ten kieruje ich do rentgena — i tu kłopot: brak prądu. Dookoła tłum amatorów prześwietlenia, czekających od co najmniej dwóch dni. Ich choroby zdążyły już dojrzeć do objawów klinicznych. Pourazowcy mogą dołączyć i spokojnie poczekać na infekcję lub podchodzić ją w domu, a jutro znów forsować schody, może już światło będzie. Pod Paczkowem padło — przez brak elektryczności — kilkanaście tysięcy sztuk drobiu, gdzie indziej — 1300 świń. W Łomży, z powodu niedostatku prądu, zaczęła padać ludzkie, jeśli wcześniej nie zaleją ich odchody z nie sprzątanej przychodniowej ubikacji. Cóż przy tym wszystkim znaczą drobiazgi, że w sąsiedniej przychodni, przy ul. Armii Czerwonej, urwał się sufit? Przecież nie na tych, którzy decydują o byciu, czyli stanie świadomości łomżyńskiej służby zdrowia.

Nareszcie doszło do ważnego porozumienia na ministerialno-wojewódzkim szczeblu. Zapytany przez ministerialnego gościa: — Jaki idiotę usytuował piatnicką oczyszczalnię w tak fatalnym miejscu? — wojewódzki dostojnik odrzekł zgodnie z prawdą: — To ja — Konsekwencji porozumienia jeszcze nie znamy.

Warszawa ma morderce, kamienne kwietniki, Łomża — również morderce — żeliwne, półokrągłe, drabinki. Intuicja dzieci ostrzegła przed kalectwem lub śmiercią po jednym wypadku przygniecenia dziewczynki — zrobiły sobie z nich bramki. Oczywiście, poziome, bo innowacja spółdzielni polega na tym, iż urzążeń nie przytwierdza do ziemi. Liczy na pomoc mieszkańców? Czemu nie, tylko że najpierw trzeba dać choćby minidowód własnej troskliwości wobec nich. Prawdziwym uczuciem darzy spółdzielnia wyłącznie Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane, a to — jak przystało na rozpieszzone dziecko — nadużywa tej miłości, kosztem, rzecz jasna, mieszkańców.

★

Mieszkańcy Ciechanowca donoszą, że chorałnym „dzień dobry” nauczycieli swego lekarza kultury. Ba, gdybyż taki zabieg skutkował w innych działaniach dydaktycznych! Wówczas wystarczyłoby podchodzić grupkami do różnych instytucji i skandować: „Szybciej!”, „Uczelwie”, „Do roboty!”

★

Uwaga! Tylko w sali „Bezalkoholowej” restauracji w Grabowie wypijesz w spokoju i do syta!

★

Przyzwyczajenie — jak słusznie głosi przysłowie — jest drugą naturą człowieka. Na przykład dyrektor Oddziału WSS-u przywykł zachodzić do swoich placówek handlowych od tyłu, więc przeniósł tę praktykę na życie prywatne i nawet po swoje poranne mleczko sunie na zaplecze. Natomiast jeden z wiceprezów Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej nie przywykł stać w kolejce, zatem obstał sobie prywatny koszyczek i swobodnie obiega z nim półki. Dobrze, że ekspedientki jeszcze nie przywykły do wstrzymywania sprzedaży, zanim ci (oraz im podobni) panowie nie przepatrzą dokładnie półek i zaplecza.



Pogodziłem się z sobą

Jaki to sens być partyjniakiem i w „Solidarności”? Że nie ma w tym sprzeczności przekonują fakty, może nawet zanadto oczywiste. Ale problem jest, czy raczej problemy. Ja sam z „Solidarnością” współpracowałem właściwie od początku, jak tylko zobaczyłem, że jest prawdziwym ruchem pracowniczym, ale się do działalności w niej nie rwałem. Woląłem współpracując, zachowywać pewną rezerwę. Wstąpiłem w momencie według mnie granicznym, bo w końcu marca, chociaż zdecydowany byłem dużo wcześniej i przyłożyłem się do redagowania jednego z biuletynów niezależnych, samorządnych i solidarnych. Jeszcze kiedy byłem urzędnikiem partyjnym, w weszłym roku, to się przełożyli śmiały, żeby się nie spieszył ze wstępowaniem do „Solidarności”, póki dopracowuje swój czas w komi-

POŚLIZGI

tecie. Sprawa wstąpienia była dla mnie oczywista, ale się nie spieszyłem z tym; po pierwsze dlatego, że ten ruch przyszedł jednak do mnie z zewnątrz, nie znalazłem się wśród tworzących go od podstaw, a po drugie — swoją rolę widziałem raczej w działaniu modelującym różne, nie grzeszące zbyt daleko od rzeczywistości — tendencje solidarne.

W „Solidarności” pociągało mnie od początku to, że muszę wobec niej i w niej bronić swojego związku z partią, że muszę na nowo przemyśleć wszystkie podstawy tej więzi i na nowo swoją partyjność uzasadnić. To przez „Solidarność” odrodzić się mogłem właśnie jako partyjniak, bo musiałem przypomnieć sobie zasady, które mnie przywiodły do partii na początku stycznia siedemdziesiątego pierwszego i to przypomnieć w całej ich ostrożności i prostocie. Dzięki tym właśnie zasadom mogłem z pełnym przekonaniem zostać współautorem wstępu do jednego z biuletynów „Solidarności”, z którego zacytuje ci fragment: „Latem ubiegłego roku otworzyła się w naszym kraju, dzięki postawie robotników, możliwość ograniczenia wszechwładzy ludzi wykorzystujących idee socjalizmu dla ochrony prywatnych przywilejów. Marzenia o samorządnych formach organizowania życia naszego społeczeństwa stało się rzeczywistością. Socjalizm — przypomnijmy — to przede wszystkim uspołecznienie własności i władzy oraz podmiotowa rola klasy robotniczej w społeczeństwie i w państwie. Dialog z NOWYM nawiązała ci przedstawicielka kierownictwa, dla których idee socjalistyczne nie stały się frazesem. Przeciwno występowała — najczęściej skrycie i przebiegle — i czynią to nadal ci, którym najbliższe są: udział w niekontrolowanym społecznie sprawowaniu władzy, komfortowe wille

(jakże często budowane za nasze pieniądze), miękkie fotele w gabinetach i służbowe limuzyny, wygodne nie tylko w sytuacjach służbowych. Ci, którzy nie chcą zrezygnować z prywatnych przywilejów, jakie dała im biurokracja nie pogodzili się z nową sytuacją. Niektórzy liczą na odwrócenie biegu wydarzeń, a mogą się także nie cofać przed prowokacją, uderzającą w ruch związkowy i w politykę dialogu nowej ekipy rządowej [...]” Wiesz, takie widzenie sytuacji jest dla mnie oczywiste w „Solidarności”, w partii, a może nawet tak ją widzę dlatego, że należę — wedle przekonań — do partii.

Ważne dla mnie jest to, że moja lojalność wobec partii jest w „Solidarności” szanowana, że nikt nie ma do mnie pretensji za jasne przekonania socjalistyczne. Odwrotnie — widzę dużo zrozumienia dla tych, którym zależy na wyklarowaniu socjalistycznego nurtu związku; a jest to nurt, nawet w żywiole niezależności solidarnej, podstawowy. Bo w istocie chodzi przecież o to, by robotnicy i w ogóle pracownicy przeszli, jako klasa, ze stadium „klasy w sobie” w stadium „klasy dla siebie”. Temu przede wszystkim służy dzisiaj „Solidarność” i w tym działaniu wyrasta ona w gruncie rzeczy z tego, co zawsze było żywotne w partii. A dramat partii polega — jak myślę — na tym, że jej trzon robotniczy dał się ograbić ze swojej filozofii przez nową warstwę biurokratyczną, dla której nie socjalizm był ważny, a statytm, przywidziany dla osłabienia samodzielności robotników we frazeologii socjalistycznej. Odzyskanie tej filozofii, żywotności jej idei, to jest dzisiaj sprawa wspólna robotniczego trzonu partii i związków, wreszcie samorządnych. Toż socjalizm, a więc uspołecznienie własności i władzy, jest sprawą rzesz pracowniczych, a nie gabinetowych grupów władczych...

STANISŁAW KOTWICA

NA PIĘCIOLINII

„Opole” wraca do siebie

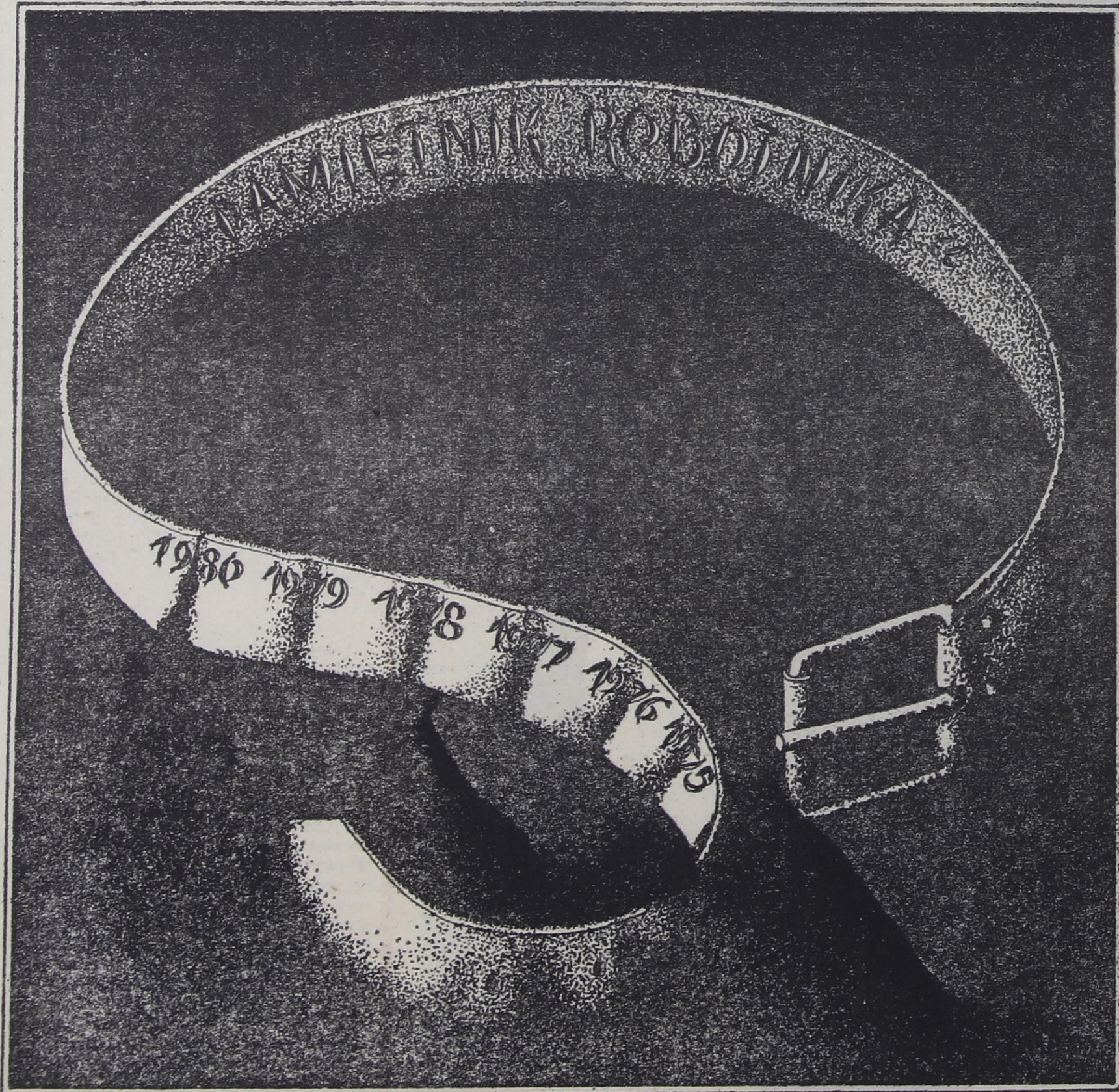
Ponieważ odnowa dotyka wszystkich dziedzin życia, nawet tych — zdawać by się mogło — niepoważnych, w minionych miesiącach przeprowadzono reorganizację największego przeglądu polskiej piosenki — w Opolu. Mania wielkości, mega-festiwal, megalomania i megalochalura, tak oto można określić to, co w ostatnich latach świadczyło o najmłodszym dziecku Komitetu do Spraw Radia i Telewizji. Ten bowiem potentat zawiadzał bez końca skromnym przeglądem legendarnego już ojca Opola — Karola Musioła. Z nowym patronatem powstała oczywiście nowa formuła, której podstawy stanowiła likwidacja kilku najciekawszych, tradycyjnych już imprez oraz przerost formy nad treścią. Wielkim krzykiem (ale niczym ponadto) zakończyła się sprawa scenografii w 1977 r. Otóż konstrukcja z bluszczących rurek i płatanina migoczących neonów kosztowała prawie 10 mln. zł. Tylko poważne ostrzeżenie skierowane przez kogoś myślącego z grona organizatorów spowodowało, że w przyszłych latach estrada opolskiego amfiteatru wyglądała już nieco skromniej, wykorzystywano na niej również ubiegłoroczne elementy.

Im większa była u nas bieda, tym większe pojawiały się hasła, napisy, transparenty, tym bardziej kolorowo wyglądały manifestacje i pochody. Rozwrzeszczana propaganda, skierowana głównie w kierunku obwieszczenia postępu, nowoczesności, cywilizacji i olbrzymiego sukcesu, dotknęła także opolskiego festiwalu, jako że przez kilka dni cała Polska miała mieć wzrok wlepiony w ekran telewizora i śledzić piosenkarskie wycieczki, niczym finałowy mecz piłkarskich mistrzostw świata. Jednocześnie zaś — by ta publiczność oglądała festiwal w duchu epokowych przemian — nadawać zaczęto transmisje z jednodniowym poślizgiem. Jeżeli ktoś był nieposłuszny i zaśpiewał zakwestionowaną wcześniej jedną linijkę tekstu, to się go wycinało i koniec. Rok 1977 przejdzie pod tym względem do historii. Rozkrzyczana i łącie rockefellerowska scenografia, wycinanie nieposłusznych, celowe niszczenie brzmienia krnąbrnym wykonawcom i zapraszanie dziennikarzy za pośrednictwem Biura Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR, pracującego pod baczny nadzorem znakomitego Łukaszewicza. Jeżeli wytypowany dziennikarz napisał później o festiwalu źle, a takich było mnóstwo, to się go po prostu w następnym roku nie zapraszało.

Genialnym posunięciem była również likwidacja jednego z najciekawszych konkursów, a mianowicie „Maratonu Kabaretowego”, który nareszcie w tym roku wraca na estradę amfiteatru. Ciężko zresztą rzeczy zupełnie niewinne. Komentarz (niezwykle dowcipny) Jerzego Sthura do jednego z koncertów, emitowany był w dniu następnym w przerażających strzępach; na koncercie galowym Andrzej Rosiewicz nie zaśpiewał „Walca z docentem w tytule”, bowiem pilny teleks kazał mu zachorować, albo najlepiej wyjechać z Opola. Choroba Rosiewicza ujawniła się w późnych godzinach nocnych nad bogatym w konwencjonalne płyny stole hotelowej restauracji.

Od tego roku kuratela telewizji ogranicza się do udziału w pracach Komitetu Organizacyjnego dwóch bodajże przedstawicieli tej firmy, na czele z Barbarą Pietkiewicz, fanatycznym apologetą piosenki francuskiej i włoskiej, co my — telewizzowie — odczuwaliśmy na własnej skórze przez ostatnich kilka lat. Transmisje oczywiście będą, ale impreza wraca do jej twórcy i prawowitego właściciela — Towarzystwa Przyjaciół Opola i Karola Musioła. Przeżyjemy — zobaczymy.

JAN JANUSZEK



Rysunek Jerzego Kurnickiego



REPORTER: Do rozgłośni PR w Białymstoku regularnie docierały listy mieszkańców Niedźwiadnej, opisujące najróżniejsze bolączki ich dnia codziennego.

List 1: „Płacę dla swoich rodziców już od 10 lat po tysiąc złotych miesięcznie, 2 metry zboża, 5 metrów ziemniaków, 1 litr mleka dziennie i światło opłacam za każdy miesiąc. Dotychczas z tych obowiązków dla swoich rodziców się wywiązywałem. Od lipca 1980 roku dostają po 1000 złotych od państwa renty. Zobowiązuję się dawać nadal ziemniaki, zboże, mleko, i za światło płacić, tylko chcę, żeby mnie znieśli po te 1000 złotych miesięcznie. Zwracałem się do naczelnika miasta i gminy w Szczuczynie i naczelnik mnie nie załatwił. Marian G.”

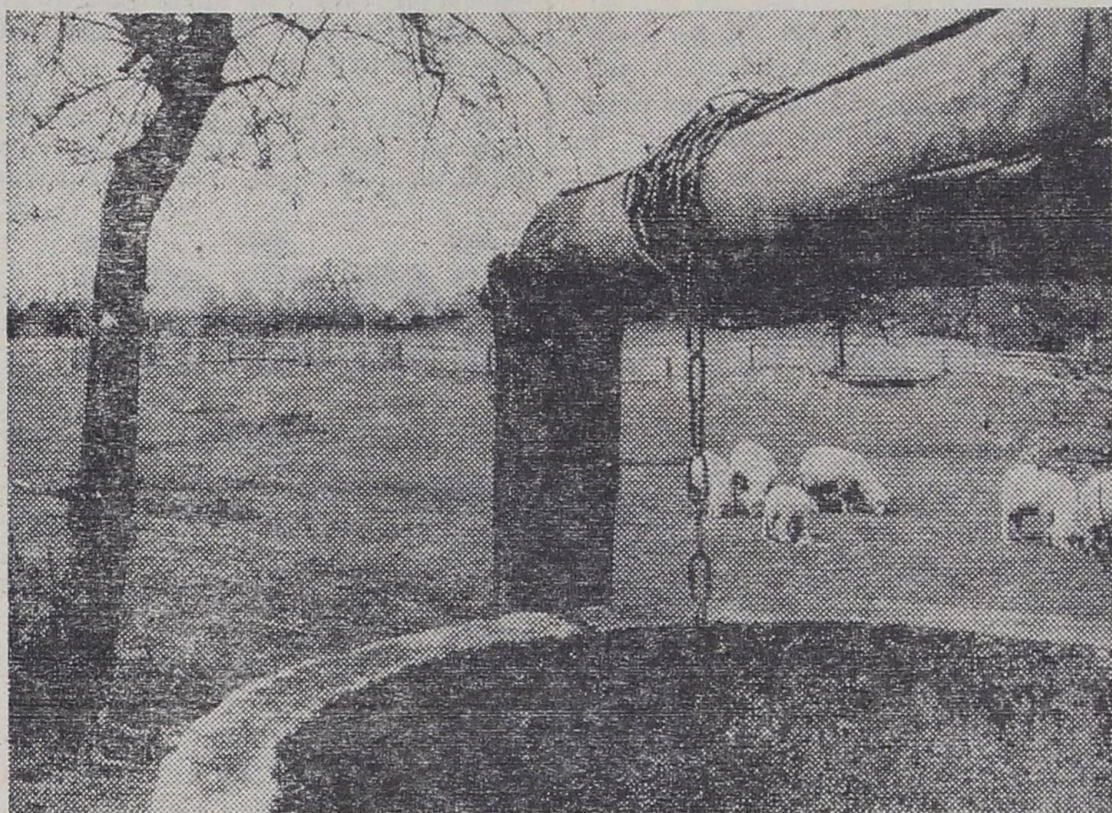
List 2: „Zawalił mnie wyjazd z podwórka kamieniami i piachem, w tym zawaleniu brał udział Piotr W., nauczyciel, i sołtys wioski, Henryk Ch. Kazali zaważyć mnie ten przejazd spychem, który poszerzał drogę i to wszystko ziemię i kamienie wepchnął na mój przejazd, który już miałem w użytkowaniu 55 lat. I nie tylko ja jeździłem, ale i moje przodkowie jeździli tamtem przejazdem. Dnia 15 listopada Piotr W. — nauczyciel wyśmiewał się w mleczarni: poczekaj to ci redakcja wywali te kamienie i piach z przejazdu. Zwracałem się do naczelnika miasta i gminy w Szczuczynie, a naczelnik na to nie reagował, Kazimierz D.”

List 3: „Jestem bezradną staruszką w wieku 85 lat, kaleką. Z Urzędu Miasta i Gminy w Szczuczynie otrzymywałam przez 6 miesięcy po 1000 złotych. W pewnym sensie musiałam dzielić się tą zapomogą z sołtysem [...]. No bo sołtys jest opiekunem społecznym i jak mu nie chciałam dawać tych pieniędzy z zapomogi, to on ją strzymał. Jeleńna K.”

List 4: „U nas w wiosce były wybory sołtysa. Na wybory przyjechał naczelnik miasta i gminy w Szczuczynie i przedstawiciel z województwa, i nadal został ten sam sołtys. Dlaczego? Jak zebranie miało być, to ze strony sołtysa wiedzieli na 3 dni wcześniej, a z naszej strony byli powiadomieni na 2 godziny przed zebraniem. Zebranie miało się odbywać od godz. 15.00, a odbywa-

niebawem; przedtem jednak nagralam kilka oświadczeń.

NACZELNIK: Ze skargi wynika, że wybory przeprowadzone przez przedstawicieli Urzędu przebiegały nie tak, jak powinny. Chciałbym więc oświadczyć, że nie chodziło nam przede wszystkim o wybory sołtysa. Cel tego zebrania był zupełnie inny. Mianowicie aktywizacja społeczna wsi Niedźwiadna. Wśród tego, między innymi, była i sprawa sołtysa poruszona, ponieważ pan Sokołowski zgłosił skargę w Urzędzie Wojewódzkim o jego negatywnej pracy. Ja wcześniej osobiście zapoznałem się z opiniami naszych pracowników, przedstawicieli wsi Niedźwiadna, organizacji partyjnych i wielu dobrych rolników



na temat pracy sołtysa. Dlatego też na początku tego zebrania wiejskiego poinformowałem wszystkich mieszkańców o realizacji zadań społeczno-gospodarczych. W szczegółach poinformowałem też o pracy sołtysa. Następnie poddałem pod dyskusję wszystkich mieszkańców wsi pracę sołtysa, na co jest sporządzony wiążący protokół. Aby nie być tutaj gołosłownym zaprosiłem na to zebranie przedstawiciela Urzędu Wojewódzkiego w Łomży, inspektora

ANDRZEJ BARTOSZ

ustnego powiadomienia i puścić po wsi listę. Teraz mamy do czynienia z pretensjami i skargami mieszkańców na dotychczasowego sołtysa i duże są niejasności, czy więc została w prawidłowy sposób powiadomiona. Inna wątpliwość dotyczy samego głosowania. W protokół podano, że na zebraniu głosowały 52 osoby. Za sołtysem opowiedziało się 28 osób, a co z resztą? Pominęto to w protokół milczeniem. Nie w pełni zachowano tutaj zasadę demokratycznych wyborów. W sytuacji, kiedy jest skarga i konflikt, należałoby przeprowadzić głosowanie tajne, a nie jawne. Krótko mówiąc: trzeba było pójść na autentyczną, szerszą demokrację. Ale nie stoi na przeszkodzie, abyśmy z

mieszkańcami Niedźwiadnej spotkali się jeszcze raz i omówili sobie wszystkie wątpliwości.

REPORTER: Pół godziny później, wraz z władzami gminnymi, jesteśmy już w Niedźwiadnej. Naczelnik z sekretarzem Urzędu Gminnego zajmują się organizacją zebrania w miejscowej szkole. Ja z sekretarzem partii udaję się do rolnika, który napisał do nas skargę na sołtysa. Zastajemy go przy wieczornym obrządku.

MIECZYSLAW SOKOŁOWSKI: Jak było z wyborami sołtysa? Po

mym wstępie zwołanego naprędce zebrania. Rolnicy schodzą się na nie powoli, oderwani nagle od codziennych zajęć. Siadają, rozglądają się nieporadnie, pragnąc dowiedzieć się, o co chodzi. Skutecznie przeszkadza im w tym grupa miejscowych aktywistów, z nauczycielem na czele, która prowadzi ostrą propagandę na rzecz zerwania tego spotkania. Dzielnie pomaga im w tym grupa traktorzystów, kolegów sołtysa z SKR-u. Zasiadli oni w pierwszych rzędach i domagają się pozostawienia wsi w spokoju i nie wtrącanie się w jej sprawy. Naczelnik potakuje — uśmiechnięty. Tumult narasta. Dopiero dzięki zdecydowanej postawie I sekretarza Komitetu Miejsko-Gminnego, Edwarda Kruszeńskiego, udaje się towarzystwo nieco uciszyć. Okazuje się bowiem, że ponad połowa głośno krzyczących traktorzystów nie jest mieszkańcami wsi Niedźwiadna i nie ma prawa głosu. To znacznie uspokaja atmosferę zebrania. Ale na krótko. Oto bowiem głos zabiera dwóch aktywistów, którzy żądają — „w imieniu wszystkich mieszkańców” — zaprzestania jakichkolwiek dyskusji na temat sołtysa. Wybuchoł wrzawa. I znowu Kruszeński pytaniem: „Kto upoważnił obu dyskutantów do wypowiadania się w imieniu całej wsi?” — uspakaja zwolenników dotychczasowego sołtysa. W tym czasie do sali przybywa coraz więcej rolników. Obóz traktorzystów wyraźnie maleje. Sołtys jest wyraźnie przestraszony, naczelnik gminy także. Tylko sekretarz partii uważnie wysłuchuje wszystkich opinii o sołtysie. Notuje nawet niektóre głosy. I wówczas zabiera głos naczelnik Szczuczyna i oświadcza kategorycznie: „Co byście tu nie mówili o sołtysie, o żadnych ponownych wyborach nie ma mowy. Ja się nie zgadzam i koniec”.

W tym momencie zebranie można właściwie uznać za zerwane, chociaż protestuje połowa zebranych rolników i sekretarz partii: protestują także ja, chcąc usłyszeć dalsze argumenty od naczelnika. Niestety, nie udaje mi się. Wrzawa i tumult stają się w tej chwili nie do zniesienia. Skwapliwie wykorzystuje ten moment sołtys i daje jednemu z barczystych traktorzystów dyskretny znak ręką. Ten zrywa się i krzyczy: „Chłopy, idziemy! Koniec zebrania! Jest demokracja czy nie? Co nam tu będą pierdolić!” — po czym rusza do drzwi. Za nim jego

koledzy, aktyw wsi i paru rolników. Jakaś kobieta próbuje ich siłą zatrzymać, ktoś ją odpycha, ktoś inny klnie siarczyście. Dochodzi do szamotaniny. Aktyw szybko wyprowadza szamocących się na podwórze. W sali zapada cisza. Sekretarz Urzędu skrupulatnie liczy tych, którzy pozostali. Jest prawie połowa sali; sami rolnicy, przeważnie starsi wiekiem.

Wkrótce do sali wślizguje się ponownie nauczyciel z radnym, którzy w pierwszych odruchu solidarności z traktorzystami opuścili zebranie. Głos zabiera jeden z rolników i prosi, aby wreszcie radio i telewizja wybrało im sołtysa. Sekretarz Kruszeński tłumaczy, że jest to niemożliwe. Potwierdzam. Odpowiada mi jęk zawodu. Naczelnik zaciera ręce. Dyskusja schodzi na inne tematy. Ludzie pytają o swoje nie załatwione sprawy, naczelnik obiecuje wszystko załatwić od ręki, pod warunkiem, że o sołtysie nie będzie słyszeć. Zebranie dobiega końca. Nagrywam ostatnie oświadczenia.

PRZEWODNICZĄCY ZEBRANIA: Wniosek z zebrania jest taki, że nadal we wsi mamy dwa obozy. Myślę, że na najbliższym prezydium Gminnej Rady Narodowej tą sprawę rozpatrzmy. Jeśli decyzja będzie brzmieć: „Przeprowadzić ponowne wybory na wsi” — wtedy je zrobimy. Jeśli nie, pozostanie, tak, jak jest.

REPORTER: Pozostało tak, jak było. Ludzie w Niedźwiadnej kłócą się teraz o szkołę. Babcia, która prosiła o zapomogę, zmarła. Remont w klubie nie posunął się ani o krok, basen nadal jest rozgrzebany.

FOT. GABOR LÖRINCZY

obcyżaje



w Niedźwiadnej bez zmian

ło się o godzinie 12.00 [...]. Jak chcieliśmy Pana Redaktora powiadomić, to naczelnik nie chciał nam powiedzieć, kiedy odbędzie się te wybory, mówił, że redaktor dla mnie niepotrzebny, bo będzie przeszkadzał w wyborach. Mieczysław S.”

Przed wyjazdem na wieś postanowiłem zapoznać z listami władze wojewódzkie w Łomży. W Urzędzie Wojewódzkim wicewojewoda Kazimierz Ciapka oświadczył: „Pojechać na wieś, sprawdzić i — jak trzeba — przypieprzyć”. Natomiast sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, tow. Kazimierz Piotrowski, po przeczytaniu listów zapytał mnie: „Na ile ta sprawa ma charakter jednostkowy i incydentalny, a na ile jest już zjawiskiem powszechnym w województwie?” Kiedy nie bardzo potrafiłem odpowiedzieć, skarcił mnie surowo: „A widziałeś? To trzeba wiedzieć!”. Po czym wezwał tow. Czerniawskiego, kierownika Wydziału Organizacyjnego KW i kazał mu zapoznać się ze sprawą. Tow. Czerniawski poskarżył mi się, że roboty z wyborami ma teraz powyżej uszu: „Bo to, wicie, redaktorze, ludzie teraz ciągle chcą kogoś wybić — to sołtysa, to sekretarza gminnego, to prezesa spółdzielni”. Następnie chwycił za telefon i zawiadomił władze Szczuczyna, że jadę do nich i że sprawy wsi Niedźwiadna, a także wyborów sołtysa, należy rozstrzygnąć na miejscu.

W Szczuczynie czekano już na mnie z pokaznym stosem papierów oraz ogromnym zdenerwowaniem, którego objawem były ciągle kłótnie korytarzowe, jakie wiedli z sobą naczelnik i sekretarz KG PZPR, zanim ustalili, że przeprowadzą najpierw rozmowy w Urzędzie Gminnym, potem w Komitecie, a dopiero wówczas — „ewentualnie, jak zajdzie potrzeba” — pojedziemy do Niedźwiadnej. Potrzeba taka zaszła

ra Zenona Biedrzyckiego, sekretarza naszego Urzędu, Kazimierza Lebkowskiego, dyrektora gminnej szkoły zbiorczej, obywatela Czesława Niklińskiego, dyrektora Spółdzielni Kółek Rolniczych, Franciszka Radla. Chcieliśmy podjąć wiążące decyzje, by w końcu zapadł kres niesnaskom i we wsi zapanował ład i porządek. Okazuje się, że to zebranie wiejskie nie spełniło naszych oczekiwań, a wręcz przeciwnie — przyniosło nową porcję skarg.

SEKRETARZ URZĘDU: Na dwa dni przed zebraniem naczelnik polecił urzędującemu sołtysowi wsi Niedźwiadna, obywatelowi Chmielewskiemu Henrykowi, zwołać zebranie wiejskie na godzinę 12.00. Ponadto w dniu zebrania, o godzinie 8.30, do wsi Niedźwiadna został wydelegowany nasz pracownik, Sulimowicz Józef; chodził on od mieszkańców do mieszkań i przypominał o terminie oraz miejscu zebrania. Na 146 mieszkańców sołectwa, którym przysługuje prawo wyboru, uczestniczyli w zebraniu 52 osoby, które podpisały listę obecności. Przewodniczył zebraniu Grunwald Eugeniusz, radny Wojewódzkiej Rady Narodowej. I doszło do wyborów sołtysa. Przedstawiciel Urzędu Wojewódzkiego proponował głosowanie. Na pytanie: kto jest za tym, żeby obecny sołtys pozostał — w jawnym głosowaniu odpowiedziało twierdząco 28 rolników. Tak więc dotychczasowy sołtys nadal pozostał na swoim stanowisku i jest to zgodne z obowiązującymi przepisami o ordynacji wyborczej sołtysów.

SEKRETARZ KG PZPR: Muszę powiedzieć, że sprawa od strony prawnej dobrze wygląda. Z tym że biorąc pod uwagę atmosferę tego zebrania — trzeba by powiedzieć, iż same wybory można było w inny sposób przeprowadzić. Mam tu na myśli powiadomienie mieszkańców. Trzeba było odejść od tradycji

prostu lipa. Ja, na przykład, dowiedziałem się o samym zebraniu, jak i o tym, że odbywają się na nim wybory, dopiero w godzinę po rozpoczęciu. Dotychczasowy sołtys, broniąc swego stanowiska, powiedział mi, że ja chciałem i jak mu było wygodnie. Po prostu nie mówił nic tym, którzy są mu przeciwni. Urzędnik gminy może i chodził w dniu zebrania, ale czy zastał wszystkich w domu? Ja zastałem na sali tylko jedną trzecią wsi — samych popleczników sołtysa. Gdzie była reszta? Dyskusji nie było prawie żadnej. Urzędnik z Łomży dytygował ludźmi, jak chciał. Sołtys, nauczyciel, władza gminna i radny stale mu przyklaskiwali. A rolnik żaden do głosu dorwać się nie mógł, bo stale niby nie według przepisów mówił. Tak uchwalili, co chcieli, i zrobili, jak chcieli. Raz-dwa głosy podliczyli i się rozjechali. A sołtys zabrał swoich popleczników, wódki nastawił i chlali aż do rana, wyrażając, że teraz się z nami rozprawia.

REPORTER: Podobne opinie zbieramy jeszcze od kilku innych gospodarzy. Najczęstszymi zarzutami, jakie kierują pod adresem sołtysa są pijaństwo, niewywiązywanie się z obowiązków oraz niezrozumienie chłopskich problemów. Sołtys Chmielewski jest traktorzystą w miejscowej bazie SKR-u. Na co dzień zajmuje się dowozem dzieci do szkół przyczepą traktorową. Większość dnia spędza więc w siodelku swego ursusa. Ponieważ posiada jedno z najmniejszych gospodarstw we wsi, trudno powiedzieć o nim, że problemy rolników Niedźwiadnej są mu na co dzień znane z praktyki. Taka sytuacja trwa w Niedźwiadnej od 20 lat, gdyż ordynacja wyborcza pozwala tu wybierać sołtysa zgodnie z opinią garstki działaczy.

Zauważam to wyraźnie już na sa-

21 czerwca 1980 r.

Szczęśliwy dzień. Dzisiaj otrzymałam dyplom ukończenia Pomaturalnego Studium Zawodowego. Specjalność: urządzenia i instalacje przemysłu gazowniczego. Wszyscy składają mi gratulacje, życzą pomyślności w pracy. Chcę wrócić do rodzinnego miasta. Jestem pełna zapału do pracy i przekonana, że moja wiedza przyda się podczas rozbudowy i rozwoju Łomży.

lipiec 1980 r.

Dzisiaj byłam w zatrudnieniu. Pani tam pracująca przyjęła mnie uprzejmie, lecz z pewnym zdziwieniem, że istnieje na świecie taki zawód. Powiedziała, że mnie zarejestruje, ale radzi szukać pracy na własną rękę. Mam tylko jeden zakład do wyboru.

lipiec 1980 r.

Pani z kadr zaprowadziła mnie do głównego mechanika. Pan ten przyjął mnie bardzo uprzejmie. Zapowiedział, że jeżeli nie mam pleców u dyrektora, to pracować w tym zakładzie nie będę.

lipiec 1980 r.

Jestem przekazywana z rąk do rąk. Dzisiaj byłam u dyrektora technicznego. Chociaż w stosunku do mnie był miły, to jednak nie mógł sam zdecydować o moim przyjęciu. Dyrektora naczelnego nie było.

lipiec 1980 r.

Czekałam na dyrektora naczelnego kilka godzin. Przebywał na terenie zakładu, lecz był nieuchwytny.

lipiec 1980 r.

Chyba chce wypróbować moją cierpliwość. Znowu dyrektora naczelnego widziałam tylko przelotnie. Nawet nie spytał, po co przyszedłam.

sierpień 1980 r.

Dyrektor techniczny powiedział, że wszystko jest na dobrej drodze, ale brak podpisu naczelnego.

sierpień 1980 r.

Poznałam już niektórych ludzi tu pracujących. Wszyscy się śmieją, że dyrektor naczelnny przede mną ucieka. Oczywiście, nie mogę się z nim skontaktować. Ale jest nadzieja.

wrzesień 1980 r.

Nareszcie! Zalaatwiłam sobie pracę. Na razie tylko staż. Zdałam egzamin z wiedzy fachowej z zakresu urządzeń i instalacji gazowych przed dyrektorem naczelnym. W „drodze wyjątku” mogą zatrudnić mnie na 3-miesięczny staż. Chociaż z rozmowy wynikało, że gaz płynny, to nie gaz. Zastanawiam się: co to jest?

październik 1980 r.

Pierwszy miesiąc mojej pracy polegał na wyjmowaniu, przekładaniu i wkładaniu kartotek do przegródek. Jestem traktowana jak piąte koło u wozu. Panuje tu całkowity despotyzm. Tylko kierownik ma zawsze rację. Niejednokrotnie z koleżankami słyszałyśmy z jego ust stek wyzwisk. Z jednej strony zdenerwowani klienci, z drugiej wulgarne kierownictwo; jestem między młotem a kowadłem.

Znowu do sklepu coś przywieźli. Mamy najbliżej, ale prawie zawsze jesteśmy za paniami z księgowości, a za nami ustawiają się ci z produkcji. Nie dla wszystkich starcza. Przeważnie zabraknie dla tych z produkcji. Czas zmarnowany, a maszyny stały.

Denerwuję się. Nie znośę bezczynności. Nie mogę powstrzymać słów mojej koleżanki „W pracy jest fajnie. Osiem godzin się przesiedzi, a pieniądze płacą”. Nie leży to w mojej naturze. Zresztą beztroska tych osób jest jeszcze dalej posunięta. Tutaj po raz pierwszy zobaczyłam,

dlaczego klienci tak długo czekają na zalaatwienie reklamacji. A dzieje się to tak: przez telefon odbiera się reklamację o ulatnianiu się gazu. Zapisuje się to w zeszycie i wyszukuje kartoteki zgłaszającego. Jeżeli kartoteka jest, to pół biedy, bo do niej przyłącza się karteczkę z reklamacją. Następnie oczekuje się na kierowcę-montera, który instalował daną butlę. Można przeczekać cały dzień, chyba że wcześniej nastąpi wybuch. Klient może jeszcze poczekać drugi dzień. Można też poinformować zainteresowanego, żeby wystawił butlę na balkon lub na dwór, to nie będzie mu w domu śmierdzieć. Ulatnianie gazu przeważnie spowodowane jest brakiem uszczelki w butli.

Tutaj też spotkałam się z nieuczciwością ludzi, z okradaniem szarych obywateli. Chodzi o wymianę dysz w kuchenkach. Operacja ta kosztuje niewiele ponad 100 zło-

mam nadzieję przejść piętro wyżej, tylko nie wiem, do jakiego działu.

Dyrektor mnie skrzyczał jak uczennicę z podstawówki, ponieważ był błąd w dokumentacji. Nie dał sobie wytłumaczyć, że to nie ja robiłam, tylko koleżanka. Nie jestem przygotowana do takiego traktowania. Jakże innych ludzi ja znam!

Jestem zdenerwowana. Ja zostałam przyjęta do pracy w drodze „WYJĄTKU” i tylko na 3-miesięczny staż, a jedna z dziewczyn, która jest po technikum rolniczym, otrzymała we wrześniu etat na to samo stanowisko, co ja, czyli: monter instalacji gazowych, z wyższymi uposażeniami niż ja. Gdzie tu jest sprawiedliwość? A może powinnam iść do PGR-u? Zastanawiam się nad taką możliwością.

W dalszym ciągu jestem autorem do wyjmowania i wkładania kartotek. Od czasu do czasu prze-

i decyzja została zmieniona. Zostałam przesunięta, jak mebel, do działu technicznego — do głównego mechanika. Myślałam, że tam będę w swoim żywiole. Ale skąd! Przez kilka dni siedziałam i robiłam spis treści teczek z korespondencją do działu technicznego. To było już jednak bardziej celowe. Przynajmniej wiadomo, gdzie co teraz jest.

Chodzę po zakładzie. Jestem tzw. ciekawska. Byłam w hali produkcyjnej. Warunki okropne. Gaz czuć wszędzie. Współczuję ludziom, którzy tam pracują. Ciężka praca, a płaca chyba jednak niewspółmierna. Zaplecze socjalne tak jak wszędzie, czyli skromne.

Widziałam także zbiorniki. Słyszałam już, że jedna z podpór pod zbiornikiem osadza się. Główny mechanik walczy o wstrzymanie eksploatacji tego zbiornika. Stan bezpieczeństwa przeciwybuchowego i przeciwpożarowego — ciężki. Nie jestem pewna, czy są utrzymane podstawowe strefy bezpieczeństwa. A do tego jeszcze stacja paliwowa „Transbudu” za siatką. Rozpoczęły się dyskusje, a podstawowe pytanie brzmi: „Jaki będzie promień zniszczeń w przypadku niewytrzymania podpory przy pełnym zbiorniku?” Nie chcę nawet o tym myśleć. Zresztą ja jestem tutaj bez prawa głosu. Niech się martwią o to specjaliści z zakładu. Oni powinni to już dawno mieć wyliczone. Cały zakład nadaje się już, i to szybko, do modernizacji.

Jestem kilka dni w kadrach. Nuży mnie to wyjmowanie akt i wykreślanie nagan. Zauważyłam, że nie ma nigdzie potwierdzenia ukończenia kursów przez monterów. Ale przecież, jak mi powiedziano, gaz płynny to nie gaz. I taki monter w Warszawie musi być przeszkolony; tu nie musi, bo to nie gaz.

Pisanie na maszynie krótkich pismek, to niejednokrotnie moje jedyne zajęcie przez cały dzień. Zastępuję też socjalną. Czego ja w tym zakładzie już nie robiłam? Tylko nie to, czego mnie nauczono. A teraz walczyć i robić mi się już nie chce. Dyrektor naczelnny powiedział mi, że absolutnie w jego zakładzie nie będę pracować. Byłam trochę zmartwiona. Kadrowa poradziła mi, żebym jeszcze porozmawiała z dyrektorem. Może jestem za głupia, może za ambitna, a może po prostu nie lubię ludzi, którzy co chwilę zmieniają zdanie, ale do dyrektora nie poszłam.

Związki zawodowe, ani jedno, ani drugie, ani też ZSMP, do którego należałam jeszcze w Warszawie, nie zainteresowały się moją skromną osobą. Związki miały o wiele ważniejsze sprawy na „głowie”, np.: podwyżki płac, kto, ile i jak najwięcej. Przewodniczącego ZSMP i członków tejże organizacji obchodziło tylko, jak można zdobyć mieszkanie patronackie. W tak dużym zakładzie byłam osamotniona. Przypuszczam: była jedna osoba, pani kadrowa, która mi trochę pomagała. Śmieszne, ale prawdziwe.

Po trzech miesiącach stażu już wiem, jak wygląda praca. Pocieszam się, że może tylko źle trafiłam. Moi koledzy ze studium pracują w kopalniach, przedsiębiorstwach gazownicznych, a także w petrochemiach i rafineriach. Teraz już wiem, że zrobiłam błąd wracając do swojego rodzinnego miasta. Jestem pewna, że drugi raz nie podejmę tutaj pracy. Jedyną szansą jest wyjazd. Byle gdzie, byle dalej od tych ludzi. Muszę zacząć jeszcze raz wszystko od nowa. Może powtórny start będzie lepszy?

BARBARA KOWALSKA
ŁOMŻA
FOT. GABOR LŐRINCZY

opowieści



spod butli gazowej

tych. Dysz jednak nie ma w zakładzie, ale kierowcy prywatnie mają i za wymianę biorą „symboliczne” 500 złotych.

Od czasu do czasu zagląda tutaj główny mechanik, żeby się ze mną pośmiać. Mówi, że jestem specjalistą od układania kartotek. Co nie przeszkadza w wymianie zdań na temat gazyfikacji przewodowej w mieście. Jest to bujanie w obłokach. Nierealne, ale być może bardziej ekonomiczne w rezultacie końcowym niż rozwożenie butli, przy wciąż rosnących kosztach transportu.

listopad 1980 r.

Taki sam miesiąc, jak poprzedni. Halę widzę z daleka, a zbiorniki na obrazku. Pod koniec miesiąca

rywnik, czyli awantura o niedostarczenie gazu. Najczęstsza przyczyna: niewyjęcie kartoteki albo jej zaginięcie. Jeszcze można dodać awarię wozu i wtedy kłopot. Bo sytuacja w transporcie jest bardzo trudna. Jeżeli wóz nawali to — nacię osób nie będzie miało gazu, ponieważ nie ma zastępczego. Najgorzej jest, jak zepsuje się star. To gwarantowany koniec. A na drugi dzień reklamacje od klientów.

grudzień 1980 r.

Jestem, jak to mówią, na „górze”. Miałam na polecenie dyrektora być w księgowości. Ale na szczęście pani kadrowa była bardziej przytomna. Szybko zorientowała się, że będę znowu tam przewracać papiery i nie robić niczego pożytecznego. Zawiadomiła o tym dyrektora



W latach 1919—39 władze działające na terenie łomżyńskiego Okręgu Komunistycznej Partii Polski zatrzymały 1200 osób podejrzanych o komunizm. 400 spośród nich skazano na kary więzienia. Procesy organizowano masowo. W Łomży pierwszą taką rozprawą, nad grupą oskarżonych, odbyła się 9 lutego 1927 roku — na ławie oskarżonych zasiadło wówczas 47 osób. W następnym miesiącu Sąd Okręgowy rozpatrywał sprawę 39. Wszystkich oskarżono o udział w spisku antypaństwowym. Odpisy wyroków, jakie zapadły w tamtych czasach są przechowywane w Archiwum KC PZPR, w dziale: „Akta Teodora Duracza” (Działacz PPS-Lewicy i KPP, członek KC PPR, głośny obrońca więźniów politycznych w latach międzywojennych — Teodor Duracz — został rozstrzelany na Pawiaku w 1943 roku). Pozostawione przez niego archiwum zawiera akta około 1200 spraw z jego kancelarii adwokackiej. Część została — po przekazaniu ich przez żonę prawnika do archiwum KC PZPR — uporządkowana i udostępniona. Są to dokumenty nigdy dotychczas nie publikowane. Udało się je zdobyć dzięki pomocy prezesa ZW ZBoWiD — płk. mgr. Stefana Sokołowskiego i pracowników KW MO w Łomży. Pozwalają lepiej zrozumieć dzieje KPP w regionie łomżyńskim. Także mechanizmy władzy jako takiej, a w szczególności — zasady funkcjonowania aparatu przymusu w okresie II Rzeczypospolitej.

Wiadomo, że sądownictwo i aparat ścigania były (i są) głównymi filarami władzy. Czy można jednak na podstawie fragmentarycznego przecięcia obrazu wyciągać bardziej ogólne wnioski? Oczywiście, przy tego typu generalizowaniu nie unikamy niebezpieczeństwa deformacji, wynikających ze specyfiki dokumentów sporządzonych dla określonego celu, napisanych specjalnym, sądowo-kancelaryjnym językiem. Ale każdy zapis jest przecież w części deformacją rzeczywistości. Zaś sama zasada deformowania to także źródło prawdy — o ludziach, którzy ją przyjęli.

Henryk Turański był właśnie jednym z tych, którym stawiano w tym czasie ciężki zarzut: zdrada stanu. Po zakończeniu wojny w 1920 roku, procesy tego rodzaju były bardzo liczne. Reakcja, szermując hasłami ratowania ojczyzny i konieczności zapobiegnięcia zagrożeniu, jakie wisiło nad burżuazyjną Polską w lipcu 1920 roku, wymogła powołanie do życia sądów doraźnych. Przy ich pomocy chciano rozbić nie tylko ruch komunistyczny, ale całą radykalizującą się lewicę. Policja doprowadziła przed oblicze sędziów członków Polskiego Stronnictwa Ludowego, Polskiej Partii Socjalistycznej, a nawet chwiejnych endeków. Wydano wiele wyroków śmierci, orzeczeń o karze ciężkiego więzienia. To bezprawie, panujące w instytucji, która miała przecież wymierzać sprawiedliwość spowodowało interwencję w Sejmie wniesioną przez posłów PSL — Wyzwolenie. W jej wyniku na północno-wschodnie ziemie polskie przysłano specjalną komisję, która miała zbadać stan faktyczny. Po jej odjeździe sądy zaczęły działać rozważniej — starano się wybierać — tylko komunistów. Widocznie zarzuty o nadużywanie ręki „sprawiedliwości” potwierdziły się i resort spraw wewnętrznych został przywołany do porządku.

Dowodami rzeczowymi w sprawie Henryka Turańskiego, liczącego wówczas 39 lat, były protokoły znalezione wśród dokumentów, które pozostawiła — odchodząca za wycofującą się Armią Czerwoną w sierpniu 1920 roku — administracja radziecka. Z pierwszego dokumentu, zawierającego ustalenia przyjęte na posiedzeniu Komitetu Rewolucyjnego w Łomży, odbyłym 9 sierpnia 1920 roku, wynikało, że Turański wszedł w jego skład. Powierzono mu nadzór nad policją. Z drugiej notatki, sporządzonej na posiedzeniu Państwowego Komitetu Rewolucyjnego, wynikało, że na mocy rozkazu Wydziału Politycznego Czwartej Armii w skład Rewkomu weszli: Arwat — Arwatowski, jako przewodniczący; Szenielewicz, Muszyński, Turański — jako członkowie. Posiedzenie to odbyło się 12 sierpnia.

Ten drugi protokół był dowodem wspomagającym. Przestępstwem nie była tu bowiem sama przynależność do władz, a działalność na konkretnym stanowisku. Inne, przedstawione w tej sprawie dokumenty to ob-

wieszczenie nowych władz, na których widniał podpis Henryka Turańskiego. Prokurator odczytał m.in. rozkaz PRK numer 3 z 6 sierpnia, który nakładał na mieszkańców szereg obowiązków o charakterze porządkowym. Np. w punkcie trzecim wzywano do meldowania o tych, którzy odeszli „z białopolakami”.

Przesłuchano także wielu świadków. Pierwszy — właściciel drukarni, Jan Wejmer — zeznał, że słyszał, będąc w jakiejś sprawie w siedzibie Rewkomu, jak Turański opowiadał taką historię: „Byłem działaczem komunistycznym w Warszawie. Po aresztowaniu w roku 1919 — przedostałem się do Moskwy, gdzie nawiązałem kontakt z innymi komunistami działającymi w ZSRR”.

— Byłem świadkiem — powiedział Jan Wejmer — jak Turański w asyście dwu milicjantów zabrał kasę Towarzystwa Kredytowo-Miejskiego.

Cóż, tworzenie nowej władzy, jest niemal w każdym calu przestępstwem przeciwko starej. Zmierzając do likwidacji tego, co było. Dlatego nawet ów — zrozumiały przecież fakt rekwizycji — zaprezentowany został jako dowód winy.

— Ludzie narzekali na Turańskiego — powiedział inny świadek, Kazimierz Ryntfisz — on był taki gorliwy bolszewik, że nawet w biurze nie rozmawiał po polsku...

— Turański — twierdził natomiast Kacper Dąbrowski — był szefem milicji i urządził w Łomży zebrania komunistyczne.

Tadeusz Trzciński: — Na parę dni przed odejściem bolszewików Turański zabrał z Magistratu konie, które już nie wróciły.

ZENON
PIECHOCIŃSKI

ten niebezpieczny tow. Turański

Zaprzeczył temu Teofil Cybulski, pełniący obowiązki pracownika gospodarczego w Urzędzie Miejskim:

— Rzeczywiście, oskarżony przyszedł do mnie żądając, abym oddał mu magistrackie konie. Ale do sprawy wtrącił się Muszyński, który obiecał, że da mu inne.

Feliks Mocarski: — Na początku wojny do Kupisk przyjechał oskarżony i wygłosił przemówienie do zebranych chłopów. „Jesteście — mówił — wyzwoleni spod panowania burżuazji i gniebiciela Piłsudskiego”.

Jan Wityński zeznał, że słyszał taką samą mowę w Łomży, na placu cerkiewnym.

Świadek Antoni Skiński: — Udałem się do Rewkomu celem uzyskania przepustki na wyjazd dla swej kuzynki. Sprawy te prowadził Turański. Zażądał przedstawienia dwu poręczycieli ze sfer robotniczych. „Poręczenia przedstawiciele burżuazji — powiedział — nie są u nas miarodajne”.

Franciszek Ruśkiewicz, kierownik Wydziału Informacyjnego przy Starostwie w Łomży przeprowadził dochodzenie, w trakcie którego ustalił, że: „Oskarżony jest zdeklarowanym komunistą. Do Łomży przyjechał z Rosji, gdzie pozostawił dwoje dzieci [...] Pracował jako stolarz. Żył dostatnio”.

— Miał prozę sądu — oświadczył — nawet pianino, chociaż pracował mało.

Bolszewicy, zaraz po zajęciu Łomży zwrócili się do niego. W mieszkaniu Turańskiego kwaterował wówczas dowódca frontu. I gospodarz jeździł wraz z nim bryczką po okolicy.

Karol Jarosiński: — Znam Henryka Turańskiego jeszcze z czasów przedwojennych. Przyjechał on do Łomży z Białegostoku na 4—5 lat przed wybuchem wojny. Tu mieszkał pół roku. Następnie gdzieś wyjechał i dopiero po wojnie wrócił. Był podobno w Rosji. Otworzył warsztat ślusarski. I pracował nie zwracając na siebie uwagi. Po wejściu bolszewików od razu stał się komisarzem. Podpisywał odezwy. Urządził wiece, w których wzywał do połączenia się Polski z Rosją. Jestem przekonany — zeznał — iż to Turański sporządził listę, która stała się później podstawą wielu aresztowań.

Oskarżony mieszkał przez dwa lata w domu Stefani Pietkowskiej, przy ulicy Rybaki 12. Do czasu wojny — zeznała ona — nie zdradzał się ze swymi sympatiami do bolszewików. Widziałam u niego dużo carskich pieniędzy. Było to w czasie bombardowania Łomży przez artylerię bolszewicką. Gdy zaczęłam przeklinać strzelających, Turański zapytał:

— A gdybym ja był takim?

Gdy bolszewicy odchodzili, gospodyni widząc, że Turański szykuje się do drogi spytała:

— Gdzie pan będzie jechał? Zostańcie.

— Kiedy nie mogę. Powiesiliby mnie. Pani wie kim ja jestem... byłem?

Jaką linię obrony przyjął podsądny: do winy się nie przyznał. Wyjaśnił, że kierownikiem czerwonej milicji nie był, powierzono mu tylko jej organizację. A do Rewkomu wstąpił celem pomagania swoim rodakom. Po dwu tygodniach pracy, gdy Armia Czerwona opuszczała miasto, odszedł wraz z jej żołnierzami do Mińska, gdzie pracował jako sekretarz w redakcji pisma „Młot”. Potem do kraju powrócił legalnie, jako repatriant.

Poszczególne zeznania potwierdzają się nawzajem, w dążeniu do udowodnienia Turańskiemu winy. Wniosek nasuwa się sam — w sprawie zeznawali tylko świadkowie oskarżenia — obrony nie było. Mimo to niewielki akt oskarżenia udało się prokuratorowi sformułować. Oto on: „Sąd Okręgowy w Łomży oskarża mieszkańca m. Sierpeca (wynika stąd, że tuż przed aresztowaniem Henryk Turański mieszkał poza Łomżą) ziemi płockiej o to, że będąc obywatelem polskim dopomagał i sprzyjał nieprzyjacielowi w jego działaniach wojennych i innych wrogich przeciwko Polsce, a mianowicie podczas inwazji bolszewickiej w sierpniu 1920 roku objął stanowisko w Rewkomie Łomżyńskim i brał udział w jego szkodliwej dla Państwa działalności [...]”.

Na czym polegała ta szkodliwość? Na rekwizycji kas Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, Towarzystwa Kredytowego Miejskiego i kasy przemysłowców oraz na zabraniu koni

miejskich i rozpowszechnianiu na wiecach idei komunistycznych, „przez co okazał nieprzyjacielowi istotną pomoc”.

Ten ostatni zarzut był najważniejszy. A zapisano go po rekwizycji pieniędzy i koni. Wszystko wskazuje więc na to, że sąd nie potrafił zebrać niepodważalnych dowodów faktu, że rola Turańskiego jako agitatora była znacząca. Albo też doskonale wiedzano, że robił on to w sposób tak przekonywający, że realnym było niebezpieczeństwo wykorzystania sali sądowej jako trybuny propagującej idee komunistyczne. Dlatego dopuszczono do głosu świadków stykających się z pracą Henryka Turańskiego w aparacie ścigania, dla których przestępstwem była właśnie: rekwizycja koni, pieniędzy. Bo przecież wcale nie trudno było znaleźć uczestników wieców, na których przemawiał Turański i poprosić o streszczenie jego myśli i sądów. Nawiązując jednak trąciłby wniosek, że tego nie zrobiono. W zeznaniach Karola Jarosińskiego i Feliksa Mocarskiego, Jana Wityńskiego jest o tym, że Turański przemawiał na wiecach, ale nie ponadto. Do rozprawy wprowadzono tylko to, co było przydatne dla oskarżenia. A mianowicie: że nawoływał do przyłączenia się z Rosją, obalenia oficjalnego rządu i... — Wyrznięcie burżuazji — co zeznał Jarosiński.

Zasadę, iż sąd powinien być instytucją służącą wychowaniu społeczeństwa dla potrzeb panujących, zastoso-

Sprawa odbyła się 30 grudnia 1924 r. a wyrok zapadł 9 marca następnego roku. [...] jak wynika z zeznań — czytamy w jego sentencji — oskarżony był zdecydowanym komunistą. Podjął działalność w Rewkomie z własnej woli, wygłosił mowę w Kupiskich, przewodniczył na wiecu agitacyjno-bolszewickim w kinie „Mirage”. Ale sąd, uznając, że pomoc okazana nieprzyjacielowi była mało ważna, postanowiła zrezygnować z oskarżenia o zdradę główną i skazuje go na sześć lat ciężkiego więzienia, pozbawienia praw obywatelskich oraz na zwrot 320 złotych grzywny (kilogram mięsa kosztował 1 zł) tytułem kosztów sądowych”.

Za pośrednictwem swej żony, mieszkającej wówczas w Białymstoku przy ulicy Parkowej 1, Henryk Turański zwraca się do Teodora Duracza z prośbą o wniesienie rewizji do Sądu Kasacyjnego. 27 sierpnia 1925 roku otrzymuje w łomżyńskim więzieniu, gdzie przebywa, list:

„Szanowny Panie, jak panu wiadomo, zaniechałem wniesienia w sprawie pańskiej skargi kasacyjnej, gdyż motyw wyroku Sądu Apelacyjnego nie daty podstaw (a więc była przedtem apelacja, której akta zaginęły niestety w czasie działań wojennych) do wiesienia tego rodzaju skargi, bowiem Sąd Najwyższy rozpatruje jedynie kwestie formalno-prawne, a Sąd Apelacyjny, orzekając w pana sprawie, nie dopuścił się obrazy ani przepisów Ustawy Postępowania Karnego, ani też prawa materialnego. W tych warunkach nie było żadnej nadziei na skasowanie wyroku.

Zgodnie z prośbą żony Pańskiej poczynię wszystkie możliwe kroki w powierzonej mi przez nią sprawie. Z poważaniem — Adwokat”.

Wiele rzeczy, przy okazji tej sprawy należałoby wyjaśnić. Szczegóły ujawnione w trakcie rozprawy pobudzają naszą ciekawość w różnym — uzależnionym od indywidualnych zainteresowań czytelnika — stopniu. Ale nie chodzi przecież o rozwinięcie jakiegoś jednego wątku. Celem tej publikacji jest ukazanie procesów politycznych jako pewnego zjawiska w życiu społecznym zbiorowości — stojącej przed wydarzeniami, które zmieniają w niej to, co przez całe wieki stanowiło o jej wartościach.

Henryk Turański urodził się w 1885 r. w Sierpcu. W latach 1905—1906 był członkiem PPS, a od 1917 — SDKPiL. W 1917 r. — członek KW Rostowskiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich: komisarz do spraw polskich w Rostowie — od lutego do maja 1918 r. Był więziony w latach 1922—25 i 1925—28 za działalność. Zmarł 18 VII 1963 roku w Białymstoku.

dokumenty



Kłusownik w sieci

Fotoreportaż: Gabor Lőrinczy



5.VI.1981
Międzynarodowy dzień
ochrony środowiska



Do niebывałych rozmiarów wzrosło kłusownictwo na terenie naszego województwa. Walka z nim jest diabelnie trudna. Pisaliśmy już o odłowieniu ryb agregatami prądotwórczymi w gminie Rajgród. Niestety i tym razem — bez skutku. Nieprzemysłana decyzja wojewody zezwala bowiem na taki rodzaj uśmiercania dużych i małych ryb, a i narybku. Do czego taka rabunkowa gospodarka prowadzi, łatwo się domyśleć!

Kajetan Barszczewski z Kulig (rezerwat Czerwone Bagno) prowadzi bezwzględna walkę z kłusownikami we własnym też interesie — sam jest rybakiem sieciowym. Postuluje, by każda łódka była przymocowana łańcuchem do brzegu i posiadała tablicę z imieniem i nazwiskiem właściciela; a nawet — wydanie ustawy, która zabraniałaby, nie mającym specjalnego zezwolenia, trzymanie sieci w domu. Bo trudno udowodnić, do jakich celów służy, choć powszechnie wiadomo, że kłusowniczek. Opowiada się także zdecydowanie za podwyższeniem ceny za żywą rybę. — Bo czyż nie zakrawa to na kpiny, że cena za jeden kilogram płoci wynosi obecnie 5 (słownie: pięć!), gdy transport kosztuje dużo więcej, jaż — 11.50 zł; a szczupak — 20 zł.



CZWARTEK

18.06.1981 r.

PROGRAM I

9.00. Kino Teleferii: „Daktari”.
11.35. Lubelska Suita Dziecięca.
12.00. „Klub Sześciu Kontynentów”.
12.45. „Dzień delfina” — amerykański film przygodowy.
14.25. Dziennik Telewizyjny.
14.55. Teatr Telewizji: Ignacy Nikorowicz — „W gołębniku” w reż. — Józefa Słotwińskiego.
16.15. „Bratysławska Lira '81” (1) — Koncert galowy.
17.35. „Gwiazdzbior” — Marlon Brando.
18.20. „Bratysławska Lira '81” (2).
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Aniołki Charliego” — „Mama gęś szuka ratunku”.
20.50. „Pegaz”.
21.35. Sprawozdanie z Memoriału Janusza Kusocińskiego.
22.30. Pieśni polskie śpiewa Ryszard Tarasiewicz.

PROGRAM II

17.10. „Wielka włóczka” — francuska komedia filmowa w reż. — Gerarda Oury.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Wieczorynka Chopinowska.
20.30. Spotkania literackie.
21.00. XVIII Studencki Festiwal Piosenki — Koncert laureatów.
22.00. Program publicystyczny.

PIĄTEK

19.06.1981 r.

PROGRAM I

9.00. Teleferie Telewizji Najmłodszych — „W pewnym małym osiedlu”.
16.20. NURT — pedagogika.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
17.55. „Wesołe melodie” — film animowany.
18.20. „Skarbiec”.
18.50. Dobranoc.
19.00. Monitor Rządowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Rolnicze rozmowy.
20.25. Filmoteka Arcydzieł: „António das Mortes” — dramat społeczny produkcji brazylijskiej.
22.15. „Listy o gospodarce”.
23.00. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

17.30. Język rosyjski (24).
18.00. Język francuski (24).
18.30. Język angielski dla zaawansowanych (15).
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Wynalazca poszukiwany” — program publicystyczny.
20.30. Kabaret Protekst.
21.00. „Stopklatka”.
21.30. 24 Godziny.
21.40. „Taaka ryba”.
22.10. Kino bez granic: „Tiyabu — Biru” — senegalski film obyczajowy.

SOBOTA

20.06.1981 r.

PROGRAM I

9.00. Kino Teleferii: „W pewnym małym osiedlu” — „Przybłęda”.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Monitor sejmowy.
16.55. Finał mistrzostw świata na żużlu parami.
18.50. Dobranoc.
19.00. CDN. — Szkoła tańca.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Film TV na świecnie: „Zamknięty krag” — włoski film kryminalny.
21.35. Blisko i daleko — program reporterów.
22.05. „Jest czwarta nad ranem” — program literacko-muzyczny.
22.35. Dziennik Telewizyjny.
22.50. Kino nocne: „Kuzyn, kuzynka” — dramat psychologiczny prod. franc.

PROGRAM II

18.10. „Wyrok” (5) — „Morderca”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. STUDIO 2.

NIEDZIELA

21.06.1981 r.

PROGRAM I

6.55. TTR, RTSS — wiedza nasza szansa.
7.15. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
7.45. Alarm przeciwpożarowy trwa.
7.55. Tydzień — magazyn Redakcji Rolnej.
9.00. Telewizjada — sport dla wszystkich.
9.30. Kino Teleranka: „Kłusownik” (1) — polski film seryjny.
10.30. Antena.
11.00. Z kamerą wśród zwierząt.
11.25. „Kraj za miastem” — program Redakcji Rolnej.
11.55. TYLKO W NIEDZIELE (Kraków).
12.05. Dziennik Telewizyjny.
12.50. Wawelskie Nekropolis.
13.20. Spotkanie na Wawelu.
13.30. Powroty do Krakowa (1).
13.45. Pół godziny z muzyką.
14.15. „Przygody Sindbada”.
14.50. Losowanie dużego lotka.
15.15. Powroty do Krakowa (2).
15.30. Zdaniem „Kuznicy” — przyszłość kultury w świetle tez zjazdowych.
16.00. Krakowskie raporty — co dalej z rewaloryzacją?
16.15. „Myśli o państwie” na Wawelu.
16.25. Powroty do Krakowa (3).
16.40. Krakowskie raporty (2) — raport z Huty Skawina.
16.55. „Zawsze w sobotę” — film o Piotrze Skrzyneckim.
17.20. Rozmowa z Tadeuszem Kantorem.
17.50. „Myśli o państwie” na Wawelu.
19.05. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.05. „Buddenbrookowie” (9).
21.10. „Kabaret”.
21.30. „Kabaret”.

21.55. Sportowa niedziela.
22.25. Godzina Macieja Szumowskiego.
23.20. Rozmowa z Andrzejem Wajdą.
23.55. Hejnal o północy.

PROGRAM II

10.35. Program wojskowy.
11.05. Przeboje tygodnia.
12.05. „Przez Andaluzję z biegiem Gwaldakiwiru” — hiszpański film dokumentalny.
12.55. Teatr Telewizji: Aleksander Suchowo-Kobylin — „Śmierć Tarekina”.
14.50. „Ziemia odrodzona” — film dokumentalny.
15.45. Wielka gra.
16.45. Uśmiech spod parasola.
17.15. Popołudnie fauny i flory.
18.00. Stereo i w kolorze.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Telewizyjny music-hall.
21.05. Filmoteka Narodowa: filmy Kazimierza Kuźna — „Ktokolwiek wie...”

PONIEDZIAŁEK

22.06.1981 r.

PROGRAM I

9.00. Teleferie TDC: w programie film „W pewnym małym osiedlu”.
16.30. NURT — pedagogika.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. Serial filmowy.
18.30. Dom i my — poradnik.
18.50. Dobranoc.
19.00. Echo stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Rolnicze rozmowy.
20.10. Teatr Telewizji: Mirosław Krleza — „W agonii” w reż. Jana Kulczyńskiego.
21.30. Program publicystyczny.
22.00. XYZ (1).
22.30. Dziennik Telewizyjny.
22.45. XYZ (2).

PROGRAM II

17.30. Język rosyjski (25).
18.00. Język francuski (25).
18.30. Język angielski (16) dla zaawansowanych.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Spotkajmy się raz jeszcze.
21.30. 24 Godziny.
21.40. „Romans prowincjonalny” — film obyczajowy TP.

WTOREK

23.06.1981 r.

PROGRAM I

9.00. Kino teleferii: „W pewnym małym osiedlu”.
16.30. Telewizja w sprawie miliardów.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. Studio Sport.
18.30. Polska Kronika Filmowa.
18.50. Dobranoc.
19.00. Klinika Zdrowego Człowieka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Kino Interesujących Filmów: — „Claudine” — dramat społeczno-obyczajowy prod. USA.
22.00. Forum ekonomistów.
22.45. Dziennik Telewizyjny.
23.00. Klub dobrej książki.
23.25. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

17.30. Język rosyjski (26).
18.00. Język francuski (26).
18.30. Język angielski dla zaawansowanych (16).
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Z pokolenia na pokolenie” — Ignacy Potocki.
20.30. Wtorek Melomana — Estrada Młodych.
21.30. 24 Godziny.
21.40. Wieczór Filmowy.

ŚRODA

24.06.1981 r.

PROGRAM I

9.00. Kino teleferii: — „W pewnym małym osiedlu”.
16.00. NURT — pedagogika.
16.30. Telewizja w sprawie miliardów.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. Losowanie express lotka i małego lotka.
17.40. Studio Sport.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Wyspy Hiszpanii” — „Gran Canaria”, hiszpański film przyrodniczo-krajoznawczy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Program publicystyczny.
21.05. Program rozrywkowy.
21.40. Studio Sport.
23.10. Dziennik Telewizyjny.
23.25. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

17.30. Język rosyjski (27).
18.00. Język francuski (27).
18.30. TWP — Tajemnice sprawnego działania.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Takty — biuro muzyki rozrywkowej.
20.45. Film dokumentalny.
21.15. 24 Godziny.
21.25. Program morski.
21.55. Rytm czasu — Atomgrad.



Łomża, kino „Październik”: 18 VI — „Szarża czyli przypomnienie kanonu”, prod. pol. (od lat 12); 19—21 VI — „Piraci XX wieku”, prod. radz. (bez ograniczeń); 22—23 VI — „Po sezonie”, prod. ang. (od lat 18); 24—27 VI — „Saturn 3”, prod. ang. (od lat 12).
Ciechanów, kino „Meteor”: 18—19 VI — „Ludzie godni szacunku”, prod. włosk. (od lat 18); 20—21 VI — „39 stopni”, prod. ang. (od lat 12); 23—24 VI — „Szansa”, prod. pol. (od lat 15).
Grajewo, kino „Relax”: 18 VI — „Bobby Derfield”, prod. USA (od lat 15); 19—21 VI — „Oddział”, prod. USA (od lat 15); 22—23 VI — „Mis”, prod. pol. (od lat 15); 24—25 VI — „Cena strachu”, prod. USA (od lat 18).
Jedwabne, kino „Oaza”: 18 VI — „Zabity na śmierć”, prod. USA (od lat 15); 20—21 VI — „Ale kino”, prod. USA (od lat 15); 24—25 VI — „Przypływ uczuć”, prod. franc. (od lat 18).
Kolno, kino „Wrzos”: 18—19 VI — „Cma”, prod. pol. (od lat 18); 20—21 VI — „Cudze pieniądze”, prod. franc. (od lat 15); 22—24 VI — „Superexpress w niebezpieczeństwie”, prod. jap. (od lat 15).
Nowogród, kino „Ziemowit”: 20—21 VI — „Nie taki zły”, prod. franc. (od lat 15); 23—24 VI — „Po drodze”, prod. pol.-weg. (od lat 15).
Stawiski, kino „Saturn”: 18—19 VI — „Omen”, prod. ang. (od lat 18); 20—21 VI — „Brawurowe porwanie”, prod. USA (od lat 18); 23—24 VI — „Prawdziwe życie Drakuli”, prod. rum. (od lat 15).
Wysokie Mazowieckie, kino „Wars”: 18—21 VI — „Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce”, prod. pol. (bez ograniczeń); 23—24 VI — „Imperium namienności”, prod. jap. (od lat 18).
Zambrów, kino „Kosmos”: 18—19 VI — „Przygody Ali Baby i 40 rozbójników”, prod. radz. (od lat 12); 20—21 VI — „Fałszywy król”, prod. ang. (od lat 15); 22—23 VI — „Każdy ma swoje plekło”, prod. franc. (od lat 18); 24—25 VI — „Zamach stanu”, prod. pol. (od lat 15).
Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.



Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Buczka (witrina sklepu tekstylnego): E.



Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grąjewie: poranek filmowy dla dzieci, 18 VI, godz. 11.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: „Noc świętojańska” — impreza dla młodzieży, 24 VI.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Szczuczynie: „Zielona dyskoteka” (na stadionie miejskim), 20 VI: „Siana choinka” — impreza w noc świętojańską, 23 VI; wystawa prac twórców-amatorów, czynna w dniach 18—25 VI.



Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków, wtorków i dni poświęconych): w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00. Wystawy: „Bursztyn z dorzecza Narwi środkowej” — wystawa (ze zbiorów własnych) prezentująca wydobycie, obróbkę oraz wyroby z bursztynu; „Szczęśliwy naród, który ma poetę...” — wystawa poświęcona Czesławowi Miłoszowi (od 17 VI).
Park Etnograficzny Północno-wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych).

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.

Ogłoszenia drobne

„FIATA” 125p (1978 rok) — tanio sprzedam Łomża, ul. Piękna 12/7.

p 896-1

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury” Olstyn 2, skrytka 336.

k 604-0

doniesienia

8 czerwca około godz. 15.40 podczas kąpiei w rozlewisku rzeki Narw w Drozdowie utonął 14-letni Janusz B. z tej wsi.

W nocy z 7 na 8 czerwca spod bloku przy ul. Moniuszki 14 w Łomży skradziono samochód „Żuk” koloru pomarańczowego nr rej. LOM 3476.

W dniu 8 czerwca o godz. 23.15 w Zambrzykach Kapustach gm. Rutki, wybuchł pożar w zabudowaniach Genowefy O. Spłonęły: stodoła i drewniany chlew. Straty — około 60 tysięcy złotych.

9 czerwca około godz. 3.30 patrolujący ulicę Staffa funkcjonariusz MO stwierdził dwie próby kradzieży samochodów osobowych. W obu przypadkach sprawca dostał się do wnętrza zaparkowanego i poloneza wybijając szyby w drzwiach. Nie mogąc jednak uruchomić samochodów, złodziej zabrał drobniarzę pozostawione w pojazdach, o wartości około 1900 złotych.

9 czerwca około godz. 18.30 na trasie Łomża—Wizna, w pobliżu wsi

Kramkowo, kierujący syreną nr rej. GDW 3560 Szczepan P., zamieszkały w Wejherowie, wskutek zajechania mu drogi przez furmankę podczas wyprzedzania najechał na nią. Ranne zostały, oprócz furmana, dwie jadące z nim kobiety.

10 czerwca br. ok. godz. 11.30 na ul. Wojska Polskiego w Zambrowie miał miejsce wypadek drogowy. Kierujący polonezem LOX 1680 Mieczysław P. wymusił pierwszeństwo przejazdu i w efekcie doprowadził do zderzenia z motocyklem WSK, którym jechał Mieczysław S. Motocyklista, u którego stwierdzono złamanie kości strzałkowej lewej nogi oraz kości śródstopia odwieziony został do szpitala.

W dniu 10 czerwca Stanisław S. zatrzymał jadący ul. Nowogrodzką w Łomży radiowóz MO informując milicjantów, że nienany mężczyzna, obiecując sprzedaż dolarów, podstępnie wyludził od niego 3000 złotych, a następnie usiłował zbiec. W wyniku podjętego przez funkcjonariuszy pościgu zatrzymano oszusta, którym okazał się Władysław K., zamieszkały w Łomży

Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR, REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefan Hencelowa — zastępca redaktora naczelnego, Nina Ometzenko — sekretarz redakcji, Lech Giełbach — Wiesław Kolowski, Juliusz Świdro, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński, Fotoreporter — Gabor Lőrinczy, Redaktor graficzny — Zbigniew Hencel, Korekta — Elżbieta Słupska, STRAŁE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Janusz Berner, Jerzy Bielecki, Irene Biernacka, Jacek Grub, Wiesław Janicki, Henryk Kł., Andrzej Kozłara, Kł., m. Krzyżagórski, Jan Kulka, Piotr Kunczewski, Marek Kusiba, Tadeusz, MocarSKI, Piatkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Siedlecki, Andrzej Tychowski, Wojciech Woźniak, KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel, ADRES REDAKCJI: ul. Sadowa 10 18-400 Łomża, tel. 34-98, 40-42, telex — 883248. WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Bielsko-Biala, ul. Sadowa 10, tel. 34-98, 40-42, telex — 883248. NAKŁAD 20.000. A8 PL ISSN 0268-6840 — Nr indeksu 36328. Ogłoszenia przyjmujemy: Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. tydz. „Kontakty” 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, tel. 34-98, 40-42 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

KONTAKTY

MINI-KABARET **PIEKIELKO** **PRZEDSTAWIA DRAMAT** **ADMINISTRACYJNY** **DIABELSKIE** **OBRACHUNKI**

Trzy diabły, pod przedłużającą się nieobecność ob. Narwiańskiego, dyskutują (miejscami kontrowersyjnie) nad uniwersalnym projektem gmachu użyteczności publicznej, który w żaden sposób nie da się przerobić ani na żłobek, ani na szpital.

DOJLICKI: Każdy hotel z samoczynnym urządzeniem do katapultowania po upływie jednej kadencji? Czy to nie przesada?

BIEBRZAŃSKI: To się u nas i tak nie przyjmie — brak części zamiennych.

BUZAŃSKI: Cicho! Coś pełnie... Wypelza Narwiański.

DOJLICKI: Co jest? Wyglądacie jak konwentyl frakejny z Bydgoszczy.

BUZAŃSKI: Nie jest tak źle. Ja, jako były ordynator w stopniu sierżanta, stwierdzam otarcia naskórka...

Narwiański unosi się wsparty na zagipsowanym ogonie.

NARWIAŃSKI: Byłem w Klukowie (diabły kurczą się w sobie), byłem w ZGR i SKR (diabły odsuwają się z szacunkiem), byłem w GS i WZIR (diabły mają łzy w oczach).

Narwiański pada.

BUZAŃSKI: Otarcia naskórka pogłębiają się. Trzeba mu to wyjąć z pleców...

NARWIAŃSKI: Byłem członkiem komitetu sklepowego. Rzucili sześć kostek masła, koncentrat pomidorowy i 50 kg perskiej koniczyny. Sześć tysięcy mieszkańców gminy najpierw rzuciło się na koncentrat, a potem na wiceprezesa. Jako komitet sklepowy wystąpiłem z programem nie-dużej reformy perskiej koniczyny — gdyby była czterolistna, łatwiej byłoby ją podzielić. I wtedy dostałem po mordzie po raz pierwszy.

DOJLICKI: Nie umiecie zapanować nad emocjami tłumu, to jest, chciałem powiedzieć, społeczeństwa. Zamiast prowokować ludzi tym komitetem, trzeba było krzyknąć jak Michnik w Otwocku — jestem siłą antysocjalistyczna!

BIEBRZAŃSKI: Komitet sklepowy, czy siła antysocjalistyczna — w Otwocku na jedno wyszło, z dymem mianowicie.

NARWIAŃSKI: Rolnikowi ze wsi Piętki-Szeligi przysłano kombajn i snopowiązałkę, kiedy czwórka jego dzieci wybierała się na sanki. Próbowałem rzecz wytłumaczyć, że lepiej późno niż wcale i wtedy dostałem po raz drugi, choć według instrukcji miałem przy sobie odpis dyplomu, jaki przyznano klukowskiemu SKR-owi za wydajność kombajnów i tamtejszych snopowiązałek. Po raz trzeci wziąłem w pysk, gdy bronił koncepcji remontu budynku po mleczarni w Warelach Starych; po raz czwarty przy omawianiu robót melioracyjnych; po raz piąty na skupie, gdy krowa Zagroby ważyła raz 500 raz 490 kg, a ja stanąłem po niewłaściwej stronie; po raz szósty, gdy dowodził, że nieprawdą jest jakoby w ZGR po każdej mroźnej zimie odcinano padlinę od gnoju palnikiem, bo po pierwsze nie ma palników, po drugie nie ma byczków i nawet gnoju nie ma, a jak nie ma, to niby skąd miałyby wziąć się straty oszacowane na blisko półtora miliona złotych rocznie? Po raz siódmy...

DOJLICKI: Przestańcie z tym rozliczaniem...

BIEBRZAŃSKI:... bo dostaniecie po raz dziewiąty. Tu na miejscu, od swoich.

DOJLICKI: Macie jakieś konstrukttywne wnioski?

NARWIAŃSKI: Musimy odzyskać koncentrat i zaufanie...

BUZAŃSKI: Ludzie we wsi gadają:

BOJU, BOJU BOJKA
 STRACIŁ KOCUR JOJKA
 KTO JE MO,
 NIECH JE DO
 NIECH SIĘ KOCUR
 NIE GNIEWO.

DOJLICKI: No i z kim tu pracować? Buzański wyraźnie ma kota, Narwiański — agrarysta, w gipsie, dziadek Biebrzańskiego miał skłonności pirotechniczne, a jego samego ciągnie na lewo...

Pieć centralne powołano doborowe grono wysoko specjalizowanych partaczy i cnałturników, aby opracowali małą reformę diablania roboty, bowiem większość starych metod dawno już zawiodła lub właśnie zawodzi. Przystąpiono do rzeczy — z rozmachem i wnet wszystko było skrupulatnie przebadane, opracowane i opatrzone należyłą ilością pieczęci i podpisów. Ba, przygotowano nawet ponad trzy i pół tysiąca podpisów rezerwowych (tak na wszelki wypadek). Pozostało tylko wdrożenie całości w życie, ale tu na wierzchu wyszły wszystkie anielskie machlojki.

Mała reforma okazała się tak znikomą małą, że po jej opracowaniu gdzieś się, maruda jedna, na amen zawieruszyła.

Aktualnie prowadzone są poszukiwania na szeroką skalę z użyciem najnowszych osiągnięć techniki jak: lupy, lunety, mikroskopy elektronowe, teleskopy, a dla dogłębniejszego

DONOS NR 14

przewertowania przestrzeni kosmicznej wpręgnięto nawet całą sieć satelitarną.

Taka akcja musi zaowocować, a każdy owoc to przecież tak potrzebne nam witaminy.

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Ponieważ pieć centralne na brak klienteli nie narzeka, rozpetano kampanię o jakościowo głębszy upadek moralny nowych kandydatów, żeby więcej z piekielnych kotłów nie dochodziły jęki w rodzaju: „ja nieświadomie”, „byłem kompletnie zalany” itp. Każdy nowicjusz, przed przestąpieniem bramy piekielnej będzie musiał chuchać w balonik. Po stwierdzeniu nadmiernego stężenia, a co za tym idzie — większej zapalności, aby uniknąć wybuchów w samym

piekle, zrobi się z delikwenta me-teora i puści na orbitę piekielną, by się należycie wypalił. Później policzmy mu się koszty utrzymania, weźmie za łeb i do kotła.

Znajome wiedźmy wyrębiały swoje miotły i jak nowotwór gotowe są do przerzutów. Czekają jedynie na nowe źródła lewych dopływów paliwa, bo stare jakoś wyschły. Tymczasem relaksują się przerzucaniem płotek — oraz nie chwając się — donosów.

WYTYCZNE

Kuć nastroje, póki jest gorąco.

WSKAZÓWKI

Masować problem, żeby zawsze był nabrzmiały.

TWÓRCZOŚĆ

Wychylmy ten kielich gorzkości, a w puste naczynie wydojmy krowę. Niech nie ryczy!

Z upoważnienia NSDW

Czarnego vel Hańczaka

do publicznej wiadomości podał
TADEUSZ CHARMUSZKO



Hippokamposy. Andrea Mantegna: „Bitwa istot mieszanych”. Repr. Włodzimierz Ciesławski.

KWIAT PAPROCI

Wigilia świętego Jana będąc dniem poświęconym ogniom sobótkowym jest zarazem pełną cudowności.

Kiedy radość i ochota wesoła wywabiała tak młodzież, jak i starszych gospodarzy i gospodynie to w dąbrowy, to na wzgórze do sobótkowych piasów, inni, chęciwi wzbogacenia się i wiedzy pewnej o przyszłości, z bijącym sercem oczekiwali samej północy, ażeby zdobyć kwiat cudowny o czarodziejskiej mocy.

Kwiat ten wydaje o tej tylko porze paproci, objawia się w mgnieniu oka i natychmiast niknie. Nielatwo go zdobyć, albowiem pojawieniu się jego towarzyszą złych duchów moce.

Przed wszystkim trzeba szukać ustroni zaciśniej, z dala od wioski i ludzi, ażeby nie dosłyszeli ani szczekania psów, ani dźwięków pieśni i muzyki, ani mowy, choćby szepotu człowieka. Nie braknie takich ustroni w zapadłych lasach, a w porze północnej gwar ptactwa i poryk dzikiego nawet zwierza ustanie, bo wszystko stworzenie boże we śnie odpoczywa.

W ową chwilę szukający tego kwiatu przy krzaczku paproci zasiada i chciwie wytyża oczy na jego pojawienie. I łatwo go ujrzy, bo każdy zająśnie jak gwiazda spadająca z nieba, uwieszona pod wierzchołkiem pa-

proci. Wszelako zanim błyśnie, cała przyroda się wstrząsa. Nagle nadciąga straszna burza, poświst wichury ją poprzedza łamiąc drzewa i wyrzucając z korzeniem. Grzmoty obudzają trzęsienie ziemi, a pioruny bez liku biją nieustannie. Tej okropnej burzy towarzyszy przeraźliwy śmiech szatanów z dziką wrzawą.

Jeżeli odważny poszukiwacz kwiatu dotrzyma pola, wówczas w całej brzydocie swej pojawia się diabeł, ażeby zuchwalca odstraszyć. Kiedy wszystkie te strachy pokażą się daremne dla śmiałego człowieka, wówczas wszystkich ucicha. Milknie poświst wichru wraz z grzmotami i piorunami, drzewa powalone powstają, niebo się wypogadza bezchmurne, jaśnieje widno księżyc i pojawia się kwiat wśród głębokiej ciszy nocnej.

Pomimo to, że oczy widzą, nielatwo pochwylić, ale szczęśliwy posiadacz nagle zyskuje niesłychaną wyższość, bo mając kwiat paproci, ujrzy wszystkie skarby zakłete, a ukryte w ziemi, których diabeł pilnuje, a teraz moc swoją zły duch nad nimi traci i może je zabierać, i widzi jak na dłoni przyszłość swoją, jak i drugich, zakrytą przed oczyma śmiertelnych.

(z klechd ludowych,
 zebranych przez
 Kazimierza Władysława
 Wójcickiego)

Dziwy natury

DUCHY DZIEWIC OPIERAJĄ SIĘ EGZORCYŚCIE

Wikariusz w Eton ogłosił, że zamknie swój kościół, ponieważ jest on nawiedzony przez duchy i widma dziewcząt złożonych w ofierze.

Mimo iż przysłany przez biskupa Oxfordu duchowny odprawił egzorcyzmy — powiedział pastor Christopher Johnson — złe duchy wciąż nie opuszczają kościoła. Świece zapalają się same, książeczki do nabożeństwa rozpadają w strzępy, a wokół ołtarza i między ławkami pojawia się ogień.

Zdaniem egzorcysty, kościół świętego Jana w Eton zbudowanow miejscu, na którym poganie czcili kiedyś diabła, składając mu ofiary z młodych dziewcz. (AFP)

Ks. BENEDYKT CHMIEŁOWSKI

CO ZNACZA FIZYOGNOMICZNE ZNAKI W CZŁEKU?

Włosy miętkie, znaczą Czełka bojaźliwego, bo mają podobieństwo z sierścią bojaźliwych Zwierząt, Jelenia, Zająca, Owcy.

Włosy ostre, twarde, są znakiem czełka silnego, odważnego, bo też włosy takie na Lwie, Kozłach y o ich sile, twardości świadczy.

Włosy kędzierzawe, przedkio otyślenia są znakiem, dla suchości głowy.

Twarz długa zbytnie znamienne

w Czełku lenistwo, płochość, serce bojaźliwe.

Twarze piegowe, nakrapiane, plamiste, mają podobieństwo z pstremi tygrysami, znaczą też Czełka chytrego, sztucznego, zdradzieckiego.

Czoło małe, ciasne, świadkiem jest głupiego Czełka; Zbytecznie wielkie, leniwe; Mierney wielkości czoło świadkiem bystrego, ostrego y obrotowego rozumu.

Okrągłego czoła są gniewliwi. Czoło zaś ieżeli jest niby proporcji kwadratowej, przy tym na środku zakłose, zapadłe, znaczą dowcipnego, wielkiego serea y umysłu, dla wielkości Mózgu, Duchów, y ma ze Lwią głową podobieństwo.

Powieki wypukłe, niby napuchte, znaczą ospatych.

Oczy częste mruganie iest znakiem krótkiego życia dla delikatności Muszkułu.

Czerwone oko (ieżeli nie od gorzalki) znaczą śmiałego y odważnego.

Uszy subtelne są znakiem dowcipu bystrego, a wielkie Melancholika; Czerwone wstydu; Wielkie a zaroste włosami słuchu bystrego są znakami.

Nos długi znaczą bystrość odoru; mały nikczemnego, podły umysł y słaby odor.

Piersisty człek, alius szeroki pierś, a ieszcze obrostych, miewa zbytnią serca gorzkość.

Ust wielkich, wielkiego też bywają serca. Małych ust, małego; ieżeli otwartych, znaczą głupi umysł.

POKUSY

Andrzej Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY